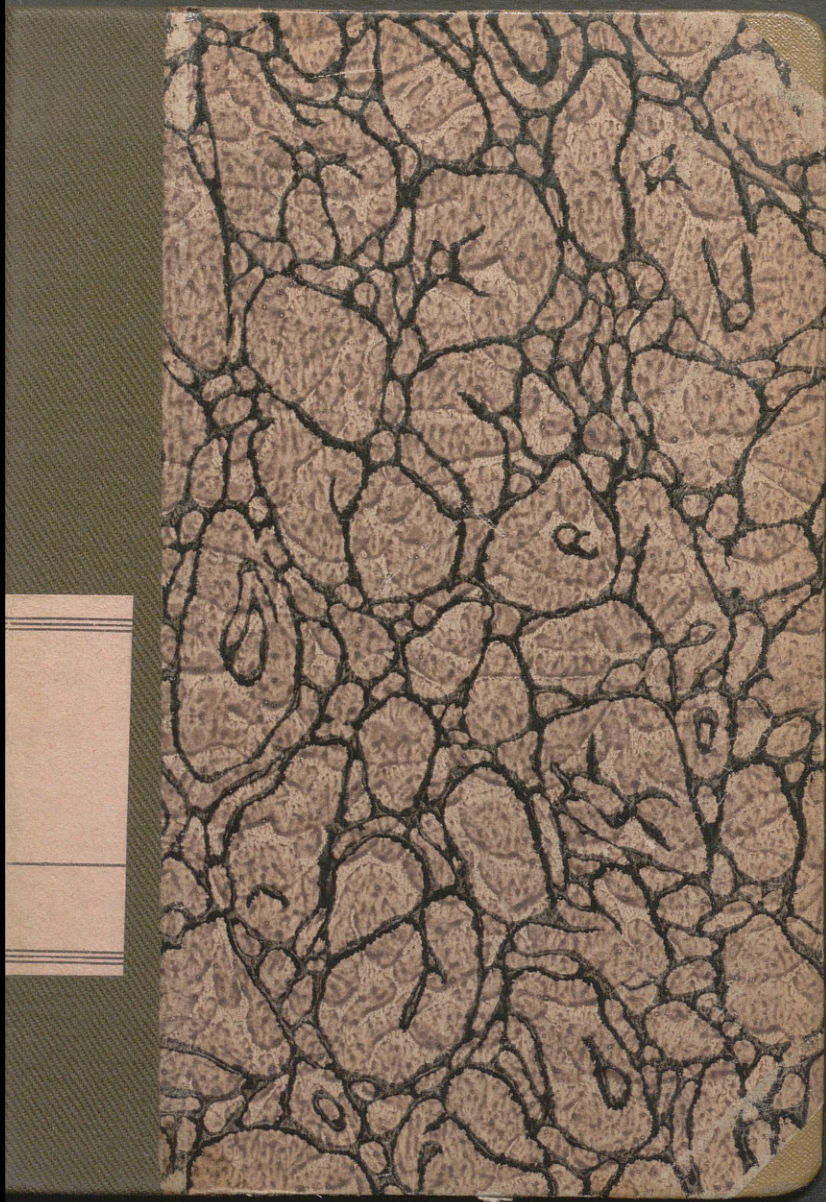
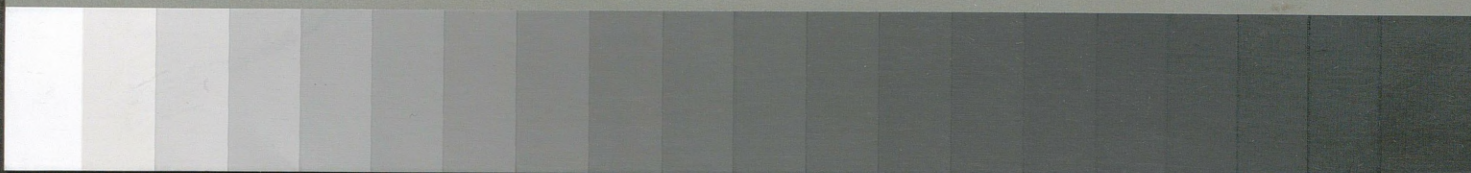


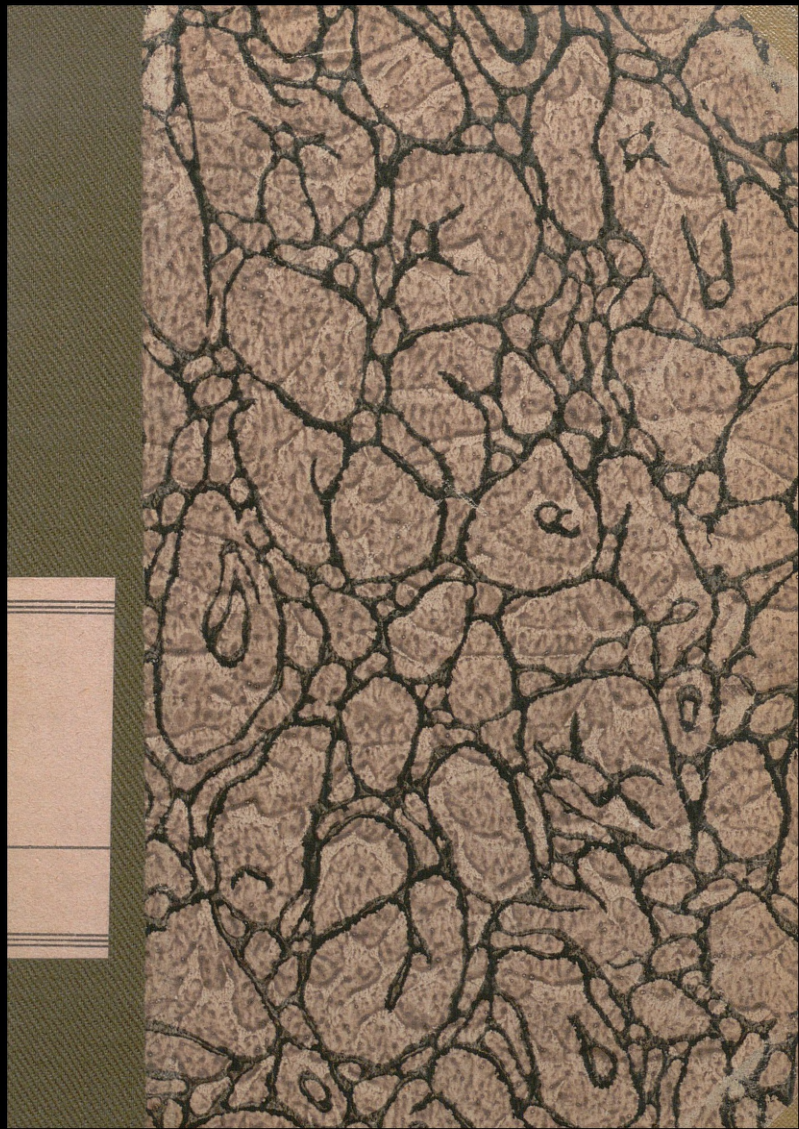


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





ZARZĄD OFICERSKIEGO DOMU WYPĘCZYNKOWEGO
W RABCE.

KONFEDERACJA BARSKA
I JEJ BOHATEROWIE

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem A. Wierzbickiego.

KONFEDERACJA BARSKA

I JEJ BOHATEROWIE

NAPISAŁ

DR. KAROL J. NITTMAN

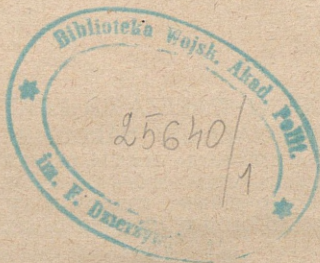


LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA, UL. NOWY ŚWIAT L. 69
KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, UL. ŚW. ANNY L. 11
POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
WILNO, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

1924

93/438/8

13447/5



I.

Wielką i potężną była ongiś ojczyzna nasza.

Sąsiedzi nasi drżeli przed orężem polskim, a Niemcy, Moskale, Szwedzi i Turcy, Wołosi i Tatarzy, nie raz i nie dziesięć bywali pobijani, prosili w pokorze królów naszych o pokój i miłosierdzie.

Polacy słynęli wówczas szeroko z cnót swoich, męstwa i bogactwa; każdy obcy znalazł tu zawsze przytulęk, opiekę i chleb gościnny choćby jak najdłużej; nasi królowie brali nieraz w opiekę wypędzonych z innych krain królów lub książąt i, nie żałując krwi własnej, pomagali im utracone odzyskać państwo; a jak nasi panowie wybrali się w jakim naprzykład poselstwie do obcego kraju, to tam aż zdumiewali się ludzie z podziwu, patrząc na szuby sobolowe, na spinki diamentowe, szable drogiemi wysadzone kamieniami, siodła, złotem haftowane i perłami, a czasem nawet srebrne u koni podkowy.

Kraj był wolny, szczęśliwy, bogaty i mógłby takim do dziś pozostać, gdyby ludzie w nim więcej mieli statku, spokoju, umieli jedni drugich słuchać, a nieraz dla świętej zgody i pożytku kraju ustąpić, gdyby więcej posłuchu było dla praw boskich i ludzkich, gdyby mniej o zabawie, o hulance i zbytkach, a więcej o pracy i zgodzie myślano.

Nigdy się zaś chyba większe zbytki w naszej Polsce nie działy, jak za panowania przedostatniego króla, Augusta III Sasa. Sasem nazywano go dlatego, że był

on w samej rzeczy z rodu księciem saskim, a Polacy obrali go sobie na sejmie królem, myśląc, że on swoje małe księstwo saskie, daleko tam gdzieś w Niemczech leżące, porzuci, przerobi się na Polaka i tylko o naszym kraju myśleć i nim rządzić będzie. Ale pomylili się panowie w swoich obrachunkach, bo gdzie to się kiedy cudzy człowiek tak rychło na dobrego Polaka przerobi. To też i król August, choć, coprawda, prawy i gorliwy katolik, choć ojciec jego także był polskim królem, zawsze w duszy tylko swoją Saksonję kochał. O koronę polską co sił się dobijał i nim został wybrany, obiecywał, że Bóg wie jakie o Polskę będzie miał staranie, bo wszakci w owym czasie polskim królem zostać, nie lada to był honor — i bogactw i znaczenia niemało król polski dostępował i wcale inaczej wszyscy go uważali, niż takie tam saskie książątko.

Król August przeto z radością wstąpił na tron polski, ale że już z przyrodzenia był człek leniwy, ocięzwały, o nic nie dbający, więc też w kraju naszym coraz gorzej za jego rządów dziać się zaczęło. Ogromny to był mężczyzna; podobno w całej Polsce nie było mu równego tuszą. Jadł też, coniemiarą, do obiadu co dzień najmniej dwadzieścia potraw przed nim zastawiano, a w samej tylko kuchni królewskiej przeszło stu ludzi było zajętych przyrządzaniem przysmaków dla pana i całego dworu, bo ma się rozumieć, że sam król tego wszystkiego nie zjadał, ale, jak wiadomo, do misy a kielicha zawsze ochotnych dość się znajdzie. Objadano też dwór pański bez miłosierdzia, a za przykładem dworu królewskiego taka w całym kraju rozpozczęła się hulanka i pijatyka, jakiej jeszcze nigdy po zagrodach szlacheckich i pańskich nie widziano. Toż aż przysłowie z tych czasów powstało, że

„Za króla Sasa
Jedz, pij, a popuszczaj pasa“.

Jakie zaś czasy nastały, kiedy tak wszyscy, od króla począwszy, tylko ucztowali — łatwo każdy zrozumie, tem bardziej, że król August nigdy prawie nie siedział w Polsce, lecz w stolicy swego dziedzicznego państwa — w Dreźnie, bo tam mu przyjemniej było między swoimi. Do Polski zjeżdżał ledwie raz na rok, a czasem i na dwa lata, na kilka tygodni, jak miał być sejm, chociaż i z tych sejmów mało było pociechy, bo co jedni postanowili i uradzili, to drudzy zakrzyczeli i nieraz aż do szabel się brali, tak iż tylko zgorszenie, zły przykład dla niższych i obraza boska z tego wynikały. Król się w nic nie wdawał, nie wiedział nawet, co się w kraju dzieje, we wszystkim słuchał ślepo swego ulubieńca, ministra i doradcy Brühla, Niemca, a co ten mu podszepnął, to król podpisywał i godził się, aby co prędzej zbyć kłopotu i wrócić do swego ulubionego Drezna, gdzie tylko piwo z wielkich kufli popijał, strzelał do celu, lub też inną, wcale nieprzystojną zabawkę sobie wymyślał. Kazał przed okna pałacu przynosić ścierwo krowie lub końskie i przyglądał się, jak psy zewsząd zbiegały i o każdą kość ze sobą się użerały.

Wiadomo wszystkim, że niema sprawiedliwszego przysłowia nad owo, że „pańskie oko konia tuczy“. — Jak tylko gospodarz sam dobytku, służby, gospodarstwa nie dopatrzy, wnet będzie miał szkodę i nieład: niech no się bodaj kilka dni na jakim jarmarku, na weselu, czy chrzeinach zabałamuci, oho! zaraz wszystko mu w chacie i w obejściu idzie nie w ład, a cóż dopiero, gdyby chciał tak z drugiej lub z trzeciej wsi gospodarzyć, sam nie doglądnąwszy — dopieroby się ładnych doczekał porządków.

Cóż więc dzieć się musiało w kraju całym, o który król tak mało się troszczył. Działo się też jak najgorzej; szlachta żadnych wojen nie prowadziła, a wojsko tak było rozpuszczone i zniewieściałe, że, jak opowiadają, jeden młody pułkownik dziwował się, jak można o świi-

cie już z kwatery wymaszerowywać, kiedy to przecież o tak wczesnej porze jeszcze rosa leży na ziemi.

Za tego to króla Augusta Sasa wojska moskiewskie rozkwaterowały się w Polsce po raz pierwszy, ni-
byto tylko przechodem, idąc do Prus, z którymi Rosja wówczas wojowała, ale tak im się w naszym bogatym, urodzajnym kraju podobało, że przeszło dwa lata trwał ten postój, podczas którego najwięcej ucierpiał lud wiejski, bo musiał dostarczać pożywienia i dla ludzi i dla koni; nieraz mu jeszcze pole Moskaliska stratowali, chudobę porwali, z komory sadło albo miód zrabowali, a za lada opór to i nahajką przewalili przez plecy.

Nibyto się o takie gwałty i nadużycia panowie na sejmach upominali, ale kto tam doszedł sprawiedliwości, kiedy każdy tylko o sobie i swoich interesach pamiętał, a przytem jedna część narodu już wtedy zaczynała trzymać z Moskalami i pod opiekę ich cesarzowej się udawać, bo zdawało się niektórym, że w przyjaźni z Rosją wielkie korzyści odnieść będzie można.

Tak tedy napozór gwarno jeszcze, huczno i wesoło było w Polsce naszej, a w istocie smutne się już zaczynały czasy. To też ci, co naprawdę kraj kochali, postanowili po śmierci króla Augusta Sasa wybrać królem już nie żadnego cudzoziemca, ale Polaka, coby ojczyznę znał, kochał, nigdy jej nie opuszczał, a ład i porządek jakiś w niej zaprowadził.

W czasie bezkrólewia, t. j. dopóki króla nie było, działy się naturalnie jeszcze większe gwałty i nieporządki; różne możne rodziny chciały w kraju przewodzić i nie rzadko ze swemi wojskami do szabel się na siebie porywały, tak, że aż pułki moskiewskie, które w owym czasie niby przez przyjaźń dla Polski carowa przysłała, musiały zwaśnionych godzić i uspokajać. Wstyd to był i hańba dla wolnego kraju naszego, który dzięki Bogu dawniej niczyjej nie potrzebował opieki i nieraz jeszcze drugich bronił; przez ciężki teraz zaś

już chyba dopust boży taka na ludzi padła ślepotą, że nie widzieli własnej sromoty, nie widzieli, że ciężkiemu wrogowi sami dobrowolnie w ręce się oddają.

Po długich waśniach, sporach, krzykach i gwałtach, obrano nareszcie króla na sejmie, jak zwykle pod Warszawą zwołanym. Ten nowo wybrany król nazywał się Stanisław Poniatowski. Pan to był młody jeszcze, urodziwy, uczony, niewielkiej fortuny i niebardzo nawet znakomitego rodu; niektórzy chcieli go mieć królem, bo naprawdę myśleli, że taki serdeczniej się odda na usługi ojczyźnie i o jej szczęściu tylko myśleć będzie, inni jednak, do których należała bogata i można rodzina książąt Czartoryskich, głosowali za Poniatowskim jako za swoim krewniakiem, o którym (znając go, że jest dobroduszny i słabej woli) myśleli sobie, że właściwie oni za niego w Polsce rządzić będą, a siostrzeniec w niczem im się oprzeć nie potrafi. Trzeba jednak przyznać, choć ze wstydem, że Poniatowski najwięcej dlatego został obrany królem polskim, że sobie tego życzyła carowa moskiewska Katarzyna. Znała ona dobrze Stanisława, który długo nawet na jej dworze w Petersburgu przebywał, i wiedziała, że będzie on jak malowany siedzieć na tronie, a ona będzie mogła dalej gospodarzyć w Polsce tak, by dla siebie jak najwięcej zyskać. Zła to była i niegodziwa kobieta, owa carowa Katarzyna, cheiwa, dumna, bezbożna, a na inne narody tak zawzięta, że tylko o tem myślała, jakby najwięcej ludzi przerobić na swych niewolników.

Koronacja króla Stanisława Poniatowskiego odbyła się bardzo wspaniale, jak to było w zwyczaju; droga od zamku królewskiego do katedry, gdzie miał przysięgać przed Bogiem, jako dobrym a sprawiedliwym opiekunem będzie dla narodu, cała była zaślana czerwonym suknem; dokoła króla duchowne osoby, szlachta, panowie, wojsko, wszystko lśniące od złota, aksamitów, drogich futer, że aż oczy rwało. Nie podobało się tylko na-

rodowi, że podczas całej tej uroczystości stało wojsko moskiewskie w Warszawie, jakby na straszaka, że jak coś się nie po myśli najjaśniejszej carowej zrobi, to ona Polaków rozumu nauczy. Dziwno się także wszystkim wydało, że król nie ubrał się do koronacji pięknie po polsku, w kontusz i żupan, jak to było w zwyczaju, tylko wystąpił jakoś nowomodnie i z cudzoziemska, w atłasowych pluderkach, w kamizeli i we fraku, w jedwabnych pończochach i trzewikach, jak panna na bal, a co najśmieszniejsza — w ogromnej, na biało umęczonej peruce na głowie. Tak się w owym czasie wszyscy ubierali zagranicą we Francji i w Niemczech, a król Stanisław, długo jeżdżąc zamłodu po różnych obcych krajach, zamiast tam się przypatrzeć i nauczyć tego, co dobre i pożyteczne, jak gospodarować, jak fabryki zakładać, jak sądy sprawiedliwe sprawować, przyswoił sobie tylko cudacką jakąś modę ubierania się, którą za jego przykładem nuż i szlachta naśladować, choć to ani piękne było, ani też wygodne. Ale już to tak zawsze bywało i bywa na świecie, że kogo Pan Bóg chce pokarać, to mu wprzód rozum odbierze, jak słusznie mówi nasze stare przysłowie.

II.

Cały naród polski z ciekawością i niepokojem oczekiwiał, jakie to też będą one rządy nowego króla, ale zaraz od początku źle się dziać poczęło.

Choć nie było żadnego do tego powodu, wojsko moskiewskie nie wyszło z Polski i kilkadziesiąt tysięcy stało go ciągle po różnych miejscach w kraju, a poseł rosyjski Repnin, złośnik i okrutnik wielki, zamieszkał w Warszawie, nieustannie miał z królem konszachty

i we wszystkie sprawy się wtrącał. Jak tylko król nie chciał w czem iść za wolą moskiewską, zaraz mu grozili: — Zgodź się, królu, bo nasza carowa tron ci odbierze! — a Stanisław, lękliwego jak zajac serca, nie chciał się narażać na wojny, nieprzyjemności, więc słaby, niedołęzny, wołał zamilczeć i we wszystkim iść za wolą carowej, choć wiedział, że to niegodziwość względem ojczyzny, której opiekę przed Bogiem zaprzyściągł. Nie był przecież dzieckiem i dobrze miarkował, że nie przez przyjaźń Moskale tak się w sprawy polskie wtrącają, ale mają w tem swój własny interes.

Posel Repnin rozumiał, że czyto w domu między familją, czy w gminie, czy nadewszystko w narodzie, jeśli niema zgody, jeśli każdy robi na swoją rękę, na drugich się nie oglądając, i każdy tylko o tem myśli by jemu samemu dobrze było, to wtedy nie może być ani ładu ani dostatku; chciał zaś niegodziwiec, aby nasza biedna ojczyzna jak najsłabszą i jak najnieośleźniejszą się stała, bo w takim razie łatwiej zdoła rozerwać i zagarnąć ten piękny kraj, na który Moskaliska tak bardzo byli łąsi. Nuże tedy waśnić jednych panów z drugimi, a raz wraz jakieś zmiany doradzać królowi.

— POCO naprzykład — powiada — będzie najjaśniejszy pan tyle wojska trzymał i opłacał? To tylko koszt i turbacja niepotrzebna, jakby — co nie daj Boże — wojna jaka wypadła, to najjaśniejsza carowa, przyjaciółka waszej królewskiej mości, użyczy swoich żołnierzy. — Jakoż z tej wielkiej przyjaźni, wojsko moskiewskie już nie wychodziło z granic Polski, a że ono objadało i rabowało biedną ludność, o tem podstępny Moskal nie wspominał wcale.

Dalej znów zaczął Repnin namawiać, żeby lutrzy i schizmatycy, to jest ci, co są ruskiej prawosławnej, a nie katolickiej wiary, takie same mieli prawa w Polsce do wszystkich urzędów, jak i katolicy. Dużo było takich panów niegodziwych, co za moskiewskie ruble,

zaprzedawszy duszę djabłu i carowej, na wszystkie projekty Repnina się zgadzali, choć widzieli, że to zguba dla kraju, że w ten sposób nasz kościół katolicki idzie w poniewierkę, a Moskale będą na posłów i ministrów popierać ludzi swojej wiary. Wiedzieli też, że ta opieka nad heretykami to tylko podstęp i chęć rządzenia naszymi sprawami, bo czemuż Moskale, kiedy tacy łaskawi, gnębią jednak i prześladują u siebie w Rosji katolików?

Naród w Polsce zawsze był bardzo pobożnym, a już do Najświętszej Paniienki, Królowej Korony Polskiej, to wszyscy mieli i po dziś dzień mają szczególniejszą ufność i nabożeństwo, jako do Opiekunki najdroższej, która, siedząc w niebiesiech, wszystkie prośby i potrzeby ludzkie zbiera łaskawie i u Syna swego wyprasza zmiłowanie. To też kiedy Moskale chcieli się i po naszych kościołach rozrządzać, a ujmować się za lutrami, co w Matkę Bożą nie wierzą, oburzyli się już wszyscy, co jeszcze trochę mieli sumienia i uczciwości w sercu, i zjechali na wielki sejm do Warszawy w r. 1767, by nad tą ważną sprawą radzić, a także i nad różnemi innemi porządkami, jakie w kraju należało zaprowadzić.

Na tym to sejmie miał poseł Jabłonowski długą i piękną przemowę, w której ujmował się za stanem włościańskim; mówił, żeby przed sądem każdy, kto zawini, czyto pan, czy chłop, równo był sądzony, a nadewszystko, żeby za zabicie chłopca karać taksamo kryminałem, jak za każde inne zabójstwo, bo dotychczas szlachta miała taką wolność, że jeśli pan chłopca zabił, to tylko musiał coś tam zapłacić i sprawa była skończona. Tak było coprawda w owych czasach wszędzie na świecie. Wszędzie jednak, a także i u nas zaczęto się zastanawiać, że to przecież bardzo jest niesprawiedliwe, ażeby wieśniak, którego Pan Bóg tak samo stworzył na obraz i podobieństwo Swoje jak i in-

nych ludzi, który w krwawym pocie matkę-ziemię uprawia i przez to dla wszystkich ludzi pracuje, nie miał równych praw z innymi stanami. Repnin jednak nawet słyszeć nie chciał o poprawie losu wieśniaków.

Dość ja — mówił on — ze szlachtą mam kłopotu, gdyż nie chce słuchać najjaśniejszej carowej, a jeszcze mam się i na chamów oglądać! — Mówił więc, że teraz nie pora zajmować się ludem wiejskim, i chciał, żeby wszyscy posłowie się zgodzili tylko na ustawę o lutrach i schizmatykach. Ale nie tak to łatwo poszło, bo choć król na wszystko tylko głową kiwał, to jednak panowie nasi, przywykli do swobody, dalejże występować ze swojemi pretensjami do króla i do posła moskiewskiego.

Do jakiej zaś śmiałości doszedł ten wysłannik carowej przy niedołącznym naszym królu, to można z tego sądzić, że kiedy jeden z panów polskich zaczął się głośno dopominać, aby wojsko moskiewskie wyruszyło do domu zpowrotem, zamiast tu bez potrzeby Polakom siedzieć na karkach, posłał do niego Repnin swego pokojowca, dając słudze rozkaz tej treści: — *„Słysz ty, skaży ty tomu postu, nechaj tak mnogo ne gaworyt, bo wezmet pletnie w piwniczu!”* — Poseł, usłyszawszy, co mu powiedzieć kazano, zamilkł wystraszony, a wielu innych, tchórzem podszytych, już się więcej nie odzywało.

Bogu jednak dzięki, nie brakło u nas ludzi poczciwych i odważnych, szczerze kraj miłujących, którzy nie zważali na groźby dzikiego Moskala, ale tak mówili, jak im sumienie nakazywało, nie szczędząc gorzkiej prawdy nawet królowi.

Do takich najuczciwszych i najodważniejszych należeli dwaj księża biskupi: Sołtyk i Załuski, a ze świeckich panów Wacław Rzewuski i syn jego Seweryn, starosta dołęński. Repnin zapragnął pozbyć się ich; zaledwie zatem rozjechali się do domów, posłał on swoich

żołdaków, kazał wszystkich czterech porwać i wywieźć z Warszawy. Biskup Załuski kładł się właśnie spać do łóżka, kiedy wpadli Moskwiciny z rozkazem Repnina; nie bacząc, że to człowiek już niemłody, podeszłego wieku, a taka wysoka, dostojna osoba, nawet ubrać mu się nie pozwolili, tylko powlekli go za sobą. To samo zrobili z innymi. Panu Rzewuskiemu nie dano pożegnać się nawet z nikim z domowników, a gdy sługa jeden, do pana przywiązany, z płaczem prosił, aby wolno mu było pojechać razem, kopnął go tylko moskiewski pułkownik w piersi, aż biedaczysko zatoczył się i upadł. Zima była, mróz przenikał do kości, więc nieszczęśliwi więźniowie bez płaszczów, bez jakiejś cieplejszej przyodziewy, trzęśli się z chłodu jak liście osiki. Biskup Załuski, bez butów nawet, bo mu i tyle nie dano czasu, by mógł je wciągnąć, ciężkiej się nabawił choroby, aż jakiś żołdak litościwy podał kapłanowi worek plew, żeby sobie w nich nogi zagrzał. Ale drugi, co siedział w saniach obok biskupa, palił fajkę, nie nie bacząc na szacunek, jaki był winien duchownej osobie; iskra padła na plewy i nieszczęśliwy biskup ledwie że się cały nie spalił, nogi zaś sobie okropnie poparzył.

Daleka to była droga, jaką musieli odbyć ci polscy męczennicy, co nie chcieli się zaprzedać Moskalowi i więcej wazyli szczęście i swobodę ojczyzny, tudzież wiarę świętą, niż własne utrapienia. Hen! o całe setki mil od nas, jest na wschodzie Rosji miasto Kaługa i tam to zawieźli Moskale i zostawili panów Rzewuskich tudzież obu biskupów. Przyzwyczajeni do wygody, do bogactwa, do swobody, znosili teraz biedę, głód, niewolę; przez trzy lata kościoła katolickiego nie widzieli; biskupi nie mogli mszy świętej odprawiać, ani się spowiadać, ani komunikować. Listów od nikogo z kraju, ani od familji do nich nie dopuszczano, a choć w Kałudze panowała taka morowa zaraza, że ludzie po uli-

cach jak kłosa przy żniwie padali, nie puszczono ich z miasta.*)

W Warszawie tymczasem zaraz już na drugi dzień, po porwaniu tych czterech dzielnych posłów, gwałt się zrobił niesłychany. Ludzie poprostu tracili głowy, nie mogli zrozumieć, co to się dzieje w tej naszej wolnej dotychczas ojczyźnie, aby śmiano się porywać na osoby posłów i biskupów, więzić, wywozić bez winy, bez sądu... I to kto? Moskiewski przybędą, przybysz, który niewiadomo czego w Polsce siedział i skąd przybył, żeby sobie pozwalał na takie gwałty i bezprawia. Dano znać natychmiast królowi, co się w jego państwie i bez jego wiedzy dzieje, ale król bez energii nie zdobył się na żaden czyn. Nibyto się bardzo zmartwił, ale zamiast poprostu zwołać wojsko, samemu stanąć na czele, a wypędziwszy Moskali, odbić więźniów, obiecywał, że się u carowej o nich upomni, a tymczasem o to tylko drżał, by mu Moskwa korony z wypieszczonej głowy nie strąciła. Gniew i żalność wielka rozeszła się po kraju całym, gdy zobaczono, jakiego to pana naród sobie obrał i jakich gwałtów a rozbojów Moskale się dopuszczają. Pomiarkowała starszyzna, że jeśli tak dłużej potrwa, to Moskwa całkiem się u nas rozgospodaruje, zwłaszcza, gdy poseł Repnin zapowiedział, że jeśli który z panów w czemkolwiek go nie posłucha, to poszle

*) Bóg czuwał nad Swymi wiernymi sługami i nie dał im marnie zginąć na obczyźnie; po sześciu latach niewoli, biedy, poniewierki, kiedy już nawet król francuski i cesarzowa austriacka Marja Teresa upominali się o nieszczęśliwych wygnańców, zawstydzili się carowa Katarzyna tego gwałtu, jaki Repnin w jej imieniu popełnił, uwolniła obu biskupów i panów Rzewuskich i pozwoliła im wrócić do kraju. Gdy przybyli do ukochanej ojczyzny, we wszystkich miastach, przez które przejeżdżali, księża wychodzili z chorągwiami i procesją, w kościołach bito we dzwony, lud się zbierał na ulicach, klękał i prosił o błogosławieństwo tych, których otaczała tak widoczna łaska Boża i pozwoliła im powrócić szczęśliwie, aż z dalekiego kraju świata.

wojsko i każe mu zburzyć dom, spalić gumna i całe gospodarstwo z ziemią zrównać.

Kilku odważniejszych ze szlachty zaczęło kalkulować, że kiedy króla źle sobie obrali i na niego nie można rachować, to musi naród sam sobie radzić i od tej nieproszonej opieki moskiewskiej się uwolnić. Zaczęto się tedy zbierać, radzić, a wszystko w największej tajemnicy, bo i król i Rępnin mieli swoich szpiegów i mogli zaraz takiego, co im się nie podobał, chwycić, zakuć w łańcuszki i rzucić gdzie do więzienia. Najserdeczniej i najgorliwiej zajęli się tą sprawą biskup Adam Krasieński, którego Moskale także o mało do Rosji nie wywieźli, tylko, że im się w porę wymknął, brat jego podkomorzy rożański, książę Karol Radziwiłł i Józef Pułaski starosta warecki.

Zapamiętać się godzi wszystkie te nazwiska, bo to byli ludzie, którzy zasłużyli, aby pamięć o nich przeszła z wnuków na prawnuki. Nie szczędzili oni ani majątku, ani pracy, ani frasunku, ani nawet krwi serdecznej, pragnąc ukochaną ojczyznę ratować od nieszczęścia i hańby.

Zwłaszcza nazwisko Pułaskich każdy z nas nosić w sercu powinien, bo oni całą rodziną ofiarowali się dla dobra wiary i ojczyzny. Józef Pułaski nie pochodził z bardzo znacznej familji; był to sobie prosty szlachcic, zamłodu adwokat i właściciel niewielkiej majątności, ale że miał głowę na karku nie od parady, że był oszczędny, gospodarny, a przytem ożenił się majątnie, więc też w tym czasie, kiedy zaczął się sposobić do obrony ojczyzny przed moskiewskimi gwałtami, doszedł już był do dużego znaczenia i wielkiej fortuny, posiadał bowiem sto osiem wsi i dwanaście miasteczek. Pan Bóg błogosławił mu jakoś we wszystkim; sąsiedzi kochali go i szanowali, przy każdych wyborach on najwięcej miał głosów, to też mając lat pięćdziesiąt kilka, został starostą wareckim, a niemały to był urząd. Dwór prowa-

dził wielki na Podolu, gdzie miał swoje majątki; mnóstwo tu było służby, kozaków, a także dworzan ze szlachty. Każdy ze sąsiadów miał sobie za łaskę, jeśli pan starosta zechciał przyjąć jego syna na swój dwór, bo chłopiec mógł się tam wiele nauczyć, a jak się okazał stateczny i sposobny, to mu z pewnością państwo dopomogli do dostania jakiego urzędu. Największą pociechą pana starosty, jak to zwykle u rodzica, były jego dzieci, których siedmioro zesłał Pan Bóg państwu Pułaskim. Cztery panny, jak łanie, chowane w skromności i bojaźni bożej, mnóstwo miały zalotników, których nęciło i znaczne wiano i chęć dostania żony z tak pocziwego domu. Trzech chłopców — Kazimierz, Franciszek i Antoni — uczyło się w szkołach warszawskich, bo pan starosta bardzo był o naukę dbały i chciał, żeby jego synowie na mądrych a pocziwych wyszli ludzi. Razem ze swojemi dziećmi chował on jeszcze bratanka Dominika, którego rodzice odumarli sierotę i opiece pocziwego stryja przyporuczyli.

Choć już wówczas sześćdziesięcioletni, był starosta jeszcze silny i krzepki, a w domu swoim pilnował dawnego twardego obyczaju, nie dopuszczał żadnych modnych nowości, jakie za saskich czasów wkradły się na skromne dwory szlacheckie. Jako poseł jeździł on często na sejm do Warszawy, choć to była droga nielada, bo wówczas o kolejach jeszcze nikt nie słyszał. Na widok króla, który się na wszystko tylko uśmiechał, kiwał głową, bale i maskarady wyprawiał, a bardziej jeszcze na widok tych Moskalisków, rozrządzających się u nas jak na własnych śmieciach, burzył się pan starosta cały i aż go ręka swędziła, żeby sięgnąć do szabli, a pierwszemu lepszemu uszy poobcinać. Na wiadomość o porwaniu i uwięzieniu księży biskupów i Rzewuskich, aż się w nim zagotowało z gniewu i żalości i dalejże radzić z biskupem Krasińskim i jego bratem,

jakby tu najlepiej pozbyć się tych moskiewskich gnębieli.

Pewnego razu przybył pan Pułaski na wiec, gdzie wielu panów polskich obradowało; wszyscy oni stali z odkrytymi głowami, a tylko poseł Repnin, który coś do nich przemawiał, rozsiadł się wygodnie z czapką na łbie. — Niedoczekanie twoje, ty czarci synu, — pomyślał pan starosta, — kiedy tylu tu jest lizunów i tchórzów, to ja takim nie będę. — I usiadł w krzesle, nie zdejmując kołpaka. Zauważył to zaraz Repnin, który oddawna już miał na starostę oko zwrócone, bo czuł, że z tym sobie tak łatwo, jak z innymi nie poradzi i ani strachem, ani pieniędzmi, ani urzędem go nie przekupi; przyskoczył tedy do Pułaskiego i podniósł rękę, by mu wymierzyć policzek. Starosta nie rzekł ani słowa, chwycił tylko za pistolet, co go miał za pasem i tak spojrział na Moskala, że aż mu w piętach zastygło. — Przeląkł się i zawstydził, schował złość w sobie, ale poprzysiągł, że tego śmiałego polskiego panka gdzieś daleko aż na Sybir zapędzi. Przyjaciele ostrzegli Pułaskiego, że niebezpiecznie by mu było dłużej zatrzymywać się w Warszawie, tego więc jeszcze dnia zabrał synów i synowca ze szkół i wyjechał do wsi Czerniakowa, pod miastem leżącej, która do jego majątności należała. Kiedy przejeżdżał ulicami Warszawy do rogatki, zbierało się ludzi jak mrowia po drodze, a wszyscy rzucali czapkami do góry, wołając: Wiwat! niech żyje starosta warecki! — bo już się wieść rozeszła, jak śmiało się stawił pan Pułaski moskiewskiemu kniaziowi, przed którym wszyscy prawie posłowie, ba! sam król nawet karku uginali.

W Czerniakowie jest kościółek niewielki, ale bardzo piękny, w którym leżą relikwje świętego Bonifacego; słynie on cudami i odpustami, na które ćma ludu nieraz z dalekich schodzi się okolic. Było to popołudnie, a że dzień świąteczny, więc w kościele nieszpory się odby-

wały i głos organu daleko płynął po łąkach, kiedy pan Pułaski wszedł do świątyni Pańskiej z trzema synami, synowcem, gromadką przyjaciół i sług. Pani starościna, pięknie ustrojona w jedwabne szaty, siedziała w kolarskiej ławie, za nią rzędem stały cztery starościanki, a dalej dwór cały. Proboszcz przywitał się z panem starostą i trochę się na bok usunął, a starosta przyklęknął przed samym ołtarzem, skinął na synów, by zrobili to samo, a podnosząc oczy i ręce do nieba, wielkim głosem na cały kościół zawołał:

— Boże miłosierny! coś miłość do rodzinnej ziemi wlał w serce każdego uczciwego człowieka, Tobie, Panie, ja niegodny oddaję w opiekę te dziatki, pociechę życia mego, podporę starości i poświęcam siebie i ich na bój wieczny z wrogami wolności naszej i świętej naszej wiary! Amen.

Potem podniósł się, odparał szablę od boku i położył ją na ołtarzu. Stara to była szablica, bogato w srebro i drogie kamienie oprawna, a najdroższa pamiątka w domu Pułaskich, bo z nią kiedyś pradziad starosty, Rafał Pułaski w puch rozbił na czele chorągwi husarskiej émę Turków pod Chocimem. Na tę to starą szablę czterej młodzi Pułascy wykonali przysięgę, że aż do ostatniej kropli krwi walczyć będą za wolność i wiarę. Młode to były jeszcze pacholęta — bo najstarszy Kazimierz zaledwie miał lat dziewiętnaście — ale znać było, że dobrze rozumieją, jak wielkie w tej chwili wyrzekli słowa. Kazimierz zwłaszcza wykonywał przysięgę z uroczystą powagą, lica mu rozgorzały płomieniem, oczy świeciły jak dwie zorze, a taka biła jasność od niego i siła, że wszyscy w kościele wzroku odeń oderwać nie mogli. Urodziwy też to był młodzian jak rzadko; wysoki, smukły niby topola, w bogatym stroju husarskim; szafirowe oczy jego śmiało patrzyły a poczciwie, na czarne zaś jak węgiel włosy padł jasny promień słońca z okna kościoła w chwili właśnie, kiedy

z ręką na szabli przysięgał. Od blasku wiosennego słońka zdawało się, iż cała głowa paliła mu się płomieniem. Już wtedy, patrząc na niego, niejednen z tych, co byli w kościele, pomyślał sobie: Oj, wielkich rzeczy dokona ten młodzian — ojczyźnie z pewnością dobrze się zasłuży.

Z kościoła podążyli wszyscy do pobliskiego dworu państwa starostów, gdzie zebrało się dużo przyjaciół Pułaskich i różnych znakomitych a poczciwych i dobrze myślących panów, którzy poczęli się naradzać, co tu teraz robić, żeby się od Moskali oswobodzić, wolność w kraju uratować i nie dać się carowej Katarzynie i jej sługom całkiem wziąć pod nogi.

Moskali było wtedy w kraju dopiero kilkanaście tysięcy, więc gdyby się wszystka szlachta na jedno zgodziła i zebrała, to można było jak nic tę garstkę obcych żołdaków rozbić i wypędzić het! za dziesiątą granicę. Wówczas możećby się i król ocknął, zawstydził, że lud sam bierze się do wojny z Moskwą, którą on powinien zacząć, a jak się przyłączy z wojskiem do szlachty i ludu, to znów Polska zupełnie wolną się stanie i wróćą dobre jej dawne czasy. Tak kalkulowała sobie starszyzna, zebrana w domu p. Pułaskiego, gdzie też uradzono, że starosta wyjedzie zaraz z okolic Warszawy, bo mu pod bokiem mściwego i okrutnego Repnina niebezpiecznie, i puści się w drogę po kraju, by wymiarkować, czy szlachta byłaby sposobną do wojny z Moskalami. Na wielkie rzeczy ważyli się ci mężowie, bo bez króla, bez wojska, mileżkiem, chyłkiem przysposobić kraj do wojaczki, zebrać ludzi, żywność, pieniądze, powyznaczać naczelników, wszystko to uszykować, przygotować — to robota zaprawdę nielada. Jeszcze gdyby to wszyscy byli dobrzy, prawi Polacy, gdyby wszyscy chcieli tego samego, łatwiejby było się zmówić. Ale ilużto w owych czasach było takich Judaszów, co za moskiewskie ruble w piekłoby

poszli, co cichaczem trzymali z carową lub nieudolnym królem, jej najniższym służką, a z pozoru udawali najlepszych Polaków.

Niemiała to także rzecz samowolnie w kraju wojnę rozpoczynać, narażać ludzi na niebezpieczeństwa, kactwa, śmierć, brać na swoje sumienie tyle życia ludzkiego, spokojności, zniszczonego dobytku...

Rozumiał to wszystko dobrze pan Pułaski, a także biskup Krasieński i podkomorzy rożański, którzy byli z nim w zмовie. — Z ciężkiem więc sercem ruszali w świat, ale wszystkie te frasunki składali w ręce Boga i Panny Najświętszej, że zaś dobrej imali się sprawy, więc i ufni byli, że ich nie opuści opieka boska i pomoc dobrych, uczciwych ludzi.

Niby ptak spłoszony w klatce, tłukło się serce w piersiach pani staroście, kiedy żegnając męża i synów, kładła z błogosławieństwem krzyżyk na ich głowach; ale mężna niewiasta nawet nie zapłakała, żeby młodzieniaszkom nie odbierać ducha. Jako dobra żona przywykła słuchać męża we wszystkim, nie próbowała nawet pani Pułaska sprzeciwić się, a przytem rozumiała, że jej nie przystoi płacz i narzekanie, kiedy mąż i synowie idą tam, gdzie woła sumienie i obowiązek każdego prawego Polaka i katolika: idą bić się za wiarę i ojczyznę!

III.

Wiadomo każdemu, że jak przyjdzie coś całą gromadą przeprowadzić, czyto idzie o wybór nowego wójta, czyto posła z jakiego okręgu, czy o zjechanie się na jaki wiec, na którym ma się o czemś nowem a pożytecznem radzić, to zanim się wszystkich zwoła, coś

ułoży, postanowi, niemało trzeba doznać turbacji; a już chodzenia, gadania, namowy, człek użyje coniemiarą. Jeden gospodarz nie rozumie o co chodzi, drugi powie: — A niechta się choć zapadnie wszystko koło mnie, tylko zostawcie mnie w spokoju, — trzeci wreszcie, co ma trochę czasu, to woli przesiedzieć w karczmie za stołem nad czarką gorzałki, jak suszyć sobie głowę jakimiś gromadzkimi sprawami.

Jakoż niełatwa to była rzecz dla panów Krasieńskich i Pułaskich, poruszyć szlachtę, zmówić się i na Moskali uderzyć. Za czasów króla Sasa odwykli nasi panowie od szabli i konia, od trudów i frasunków wojennych, wielu więc było takich, co choć widzieli obmierzłą gospodarkę Moskali w naszym kraju, choć czuli, że to grzech patrzeć tak z założonemi rękami jak obce przybłędy na naszą wolność nastają, świętą wiarę poniewierają, woleli jednak zaszyć się jak krety w ciepłych pierzynach swoich dworów, niż narażać skórę w niezgodzie z carskimi urzędnikami i żołdactwem. Ludźmi jesteśmy, wszędzie zatem i zawsze znajdują się źli i dobrzy, tchórze i odważni; przyznać jednak trzeba, że w owych czasach, o których piszemy, dużo jeszcze było prawych i dobrych Polaków, kraj nad wszystko miłujących, co ucieszyli się serdecznie, jak im tylko opowiedziano, że starszyzna w Warszawie uradziła, by się rażno a cicho zawiąć, umówić i zacząć tłuc Moskali. We Lwowie naprzykład, dokąd przyjechał pan Pułaski z synami i przyjaciółmi, tak się ludzie tą myślą uradowali, że przeszło 300 mieszczan i szlachty podpisało się z gotowością pójścia na wojaczkę, jak tylko uradzą, gdzieby się zebrać i rozpocząć.

Wiadomo też, że wojna dużo pieniędzy kosztuje, bo ich potrzeba na żywność dla żołnierzy, na konie, broń, proch i kule, na przyodziewek porządny; jeżeli bowiem koło domu można byle jak chodzić, to w świat na wojaczkę trzeba już strojno i zbrojno wyruszyć. Za

przykładem jednak zacnego księdza arcybiskupa lwowskiego, który oddał na tę sprawę ile tylko miał pieniędzy swoich w kasie, składali wszyscy dary, a kobiety nawet swoje korale i kosztowności, srebrne misy i dzbany dawały, byle przyjść z pomocą ukochanej ojczyźnie.

Wtedy to w okolicach Lwowa zdarzył się młodemu Kazimierzowi Pułaskiemu osobliwy wypadek. Razu pewnego, kiedy na dziarskich koniach wyjechał on w towarzystwie brata Franciszka i swego najbliższego przyjaciela p. Goljana o kilka mil od miasta, zastąpiła im drogę kobieta w łachmanach. Niewiadomo było, czy to żebraczka, czy warjotka, bo dziwnie jakoś przed siebie czarnemi oczyma patrzyła. Pan Kazimierz rzucił jej srebrny pieniążek, ale ona zamiast się ustąpić, chwyciła konia za uzdę i, patrząc bystro rycerzowi w oczy, zawołała:

— Oj! nie paniczu sokoliku, ja nie pieniędzy twoich chcę, tylko rękę.

— A tobie naco pańska ręka, stara wiédźmo — ofuknął z gniewem pan Goljan. Ale Kazimierz, zawsze dla biednych bardzo litościwy, uśmiechnął się tylko, przechylił z konia i podał rękę czarownicy. Stara wzięła ostrożnie pańską rękę, jakby ze szkła była, i pocałowawszy, zawołała:

— O! wielkie ja tu rzeczy widzę. Ciebie, paniczu Pan Jezus na wielkiego wodza przeznacza, za Tobą cały naród pójdzie, a póki ciebie będzie słuchał — zwycięży!

Puściła potem rękę młodziana, uklękła przy drodze, a zapatrzona w niebo, zaczęła mówić jakby sama do siebie:

Wzlecisz, wzlecisz, ptaszę młode,
Wyżej nad tę chmarę,
Stoczysz boje za swobodę
I za ojców wiarę.

Poprowadzisz dzielne plemię
Na wojnę z wrogami,
Krwia najeźdźców polską ziemię
Zalejesz strugami.

Zastanowił się Kazimierz na tę dziwną mowę, a brat, przyjaciel i słudzy spojrzeli po sobie; wszyscy kochali i szanowali bardzo młodego panicza, bo był nad wiek mądry, rozważny i zuch jak rzadko; a dobry i miłosierny, niczem święty z obrazu. Toż i ucieszyli się między sobą, że mu taką zaczął przyszłość wróżka przepowiadała, a powróciwszy do miasta, zaraz szeroko o tem zdarzeniu wszystkim rozpowiadać zaczęli. Dużo się już koło pana starosty zebrało szlachty, sług, nadwornych kozaków, a wszyscy poczęli teraz na młodego starościca spoglądać jakoś inaczej, jakby w nim przyszłego wodza widzieli, choć to pacholę całkiem jeszcze pod rozkazami ojca zostawało.

Po całej Polsce tymczasem w wielkich pałacach i po małych dworach zakotłowało się od przygotowań; na wszystkich drogach ciągnęły sznurem wozy, bryczki, a nierzadko i karoce, bo panowie musieli się zjeżdżać na narady. Chcieli oni tę całą sprawę mądrze i składnie poprowadzić, a że z nielada wrogiem mieli do czynienia, boé Rosja to kraj ogromny, bogaty i wojska mający coniemiarą, więc nie rachując tylko na samych siebie, posyłali posłów do króla francuskiego, do cesarzowej austriackiej Marji Teresy, to wreszcie do sułtana tureckiego, prosząc o pomoc w ludziach i pieniądzach. Carowej Katarzyny nie lubieli królowie w innych krajach panujący, bo to była niegodziwa kobieta i choć na tronie, ale ladacznica nieprzystojna, zła i okrutna, a dziwnie nieprzyjemna. Przedstawiali przytem nasi panowie zagranicznym królom, że dla własnego nawet interesu, powinni bronić Polski od przemocy moskiewskiej, bo jakby carowa do swego ogromnego państwa

jeszcze i Polskę zagarnęła, toby się stała taka potężna i silna, że mogłaby wojować z kimby chciała, żadne zaś państwo jużby jej rady nie dało. Zrozumieli to i cesarzowa austriacka i król francuski, który nawet przysłał do Polski trochę pieniędzy i kilkunastu oficerów, bo u nas nie było jeszcze takich szkół, gdzieby się wojskowi uczyli sypać szańce i budować fortece. Wogóle jednak więcej było ze strony obcych słodkich słów i obietnic, niż prawdziwej pomocy, bo— jak wiadomo — cudza bieda nie boli, a każdy się oglądał, żeby się w wojnę z Rosją nie wplątać. Nikt nie rad pleców za drugiego nadstawiać, a mało takich królów było, jak ów wszystkim znany, nasz dzielny król Jan Sobieski, co jak Austria była już w ostatnich tarapatkach podczas wojny z Turkami, to wyruszył aż pod Wiedeń z wojskiem, żeby sąsiada ratować.

W tym czasie, o którym mówimy, to jest w 1768 roku, właśnie ta sama Turcja, która tyle razy z Polską wojowała, najchętniej się jeszcze pokazała do dania uciśnionym Polakom pomocy, a to dlatego, że sąsiadując z Rosją od południa, najbardziej się jej obawiała.

Kiedy już zatem wszystko zdawało się być do wojny przysposobionem, zjechała się szlachta do małego miasteczka na Podolu, a mianowicie do Baru, które zdawało się, że dla takiej sprawy będzie stosownem, bo i małą forteczkę posiadało, okopaną pośrodku rowami, i bliskiem było granicy tureckiej, skąd spodziewano się rychłej pomocy. Wojsko moskiewskie, niczego nie przeczuwając, małemi kupkami rozrzucone było po całym kraju; Repnin tak je porozstawiał wszędzie potrochu dla postrachu, a także dlatego, aby mogło, rabując okoliczne dwory i gospodarstwa, łatwo się wyżywić, nic go nie kosztując, bo co carowa dała na utrzymanie pułków w Polsce, to chciwe Moskalisko wolało schować sobie do kieszeni. Rozbój a kradzież, wszak to życie dla Moskala, w okolicy jednak Baru jakoś najmniej się

kręciło tego paskudztwa, starszyzna więc nasza mogła radzić spokojnie.

Zjechał tu biskup Krasieński, brat jego podkomorzy rożański, książe Karol Radziwiłł, młody książe Sapieha, starosta Pułaski z synami i synowcem, a oprócz tego chmara drobniejszej szlachty, panów, kozaków, dworzan. W dniu 29 lutego 1768 roku przysięgli oni wszyscy powstać z bronią w rękę przeciw Moskałom, Polskę gnębiącym, bić się do ostatniej kropli krwi za wiarę świętą i wolność ojczyzny ukochanej. Po przysiędze spisano tę całą umowę i nazwano ją z łacińska *Konfederacją barską*, ponieważ w Barze się zawiązała. Każdy, kto do tej umowy należał i przysiągł, że przeciw Rosji wojować będzie, nazywał się *konfederatem*, i od tej chwili już musiał słuchać we wszystkim konfederackiej starszyny i niczem się nie zajmować, tylko wojaczką.

Nietylko sami mężczyźni zjechali się do Baru, ale i niewiast sporo, co chciały być przy tem, jak ich mężowie pomstę wrogowi przysięgać będą. Tego dnia przygotowały niewiasty dla wszystkich konfederatów suty obiad w wielkim refektarzu klasztoru ojców franciszkanów i czekały, aż rycerze po zaprzysiężeniu wojska na polu pod miastem wracać będą na posiłek i odpoczynek. Piękny to był widok, kiedy tak całe wojsko konfederackie sunęło przez miasto. Więcej jak ośmset żołnierzy, barwnie postrojonych, jechało na dobrych koniach, a wszyscy porządnie podzieleni na gromady. Każdy oddział niósł przed sobą śliczną czerwoną chorągiew, a na niej złotem był wyszyty obraz Matki Bożej i godło konfederatów barskich. Pośrodku prowadzono cztery armaty ze wszystkimi przyborami, koło nich zaś szli puszkarze, z tych jeden Francuz, co go z zagranicy przysłano, żeby uczył naszych, jak armaty nabijać i z nich strzelać, bo u nas to jeszcze naówczas była nowina.

Pierwszy jechał starosta Pułaski, obwołany marszałkiem, czyli najwyższym wodzem całej konfederacji, obok niego zaś podkomorzy rożański, obaj suto i bogato w polski ubiór postrojeni. Starosta miał na kaftanie ze skóry łosiowej pancerz ze złotej łuski, co się w słońcu tak mienił, że aż oczy ćmiło, na wierzchu delję aksamitną, czerwoną, rysiemi futrem podbitą; w lewem ręku trzymał kołpak soboli z białą kitą, a zaś w prawem szczerozłoty buzdygan na znak swojej władzy i godności. Dokoła na pysznych koniach jechało mnóstwo młodych rycerzy, wśród nich atoli odznaczali się młodzi Pułascy, po husarsku ustrojeni, dorodną postacią i chwacką miną. Przodem, przed wszystkimi, sunął niewielki wózek, w jednego konia zaprzęgnięty, którego poganiał mały kozaczek: na wózku tym siedział zakonnik karmelita w burym habicie, z wielkim czarnym krzyżem na ramieniu; był to sławny ze świętobliwości i z cudów, jakie czynił — ksiądz Marek Jandałowicz.

Sześciu trębaczy zagrało pobudkę, wszyscy więc głowy odkryli i jakby z jednej piersi popłynęła w niebo piękna, rzewna pieśń konfederacka:

Morze się burzy, ziemia się wali,
Miesza się niebo, powietrze,
Niech się świat cały na nas obali,
Wzruszy nas, ale nie zetrze.

W pośrodku trupów podniosiem głowy,
Z których i włos nam nie spadnie,
Bo wszystkich przygód naszych osnowy
Bóg dzierży, który wszem władnie.

Walczymy za cię, ziemi ukochana,
Z modlitwą w sereu, a i z szablą w dłoni,

Twe wrogi, Polsko! może z łaski Pana,
Nie ujdą naszej pogoni.

Dla nas opieką wśród bitew i znoju
Najświętsza Maryja Panna,
A więc w Jej imię do krwawego boju
Prowadź nas, Gwiazdo Zaranna!

Całe wojsko śpiewało z wielką skruczą i pobożnością; każdy wiedział, że idzie na bój krwawy, w którym bronić będzie tego, co człowiekowi najdroższe: wiary świętej i ojczyzny, własnej ziemi, własnej zagrody i rodziny, żeby mu jej wróg nie zabrał i nie pohańbił. Każdy czuł, że albo zwycięży, albo zginie, a może nigdy już nie zobaczy strzechy rodzinnej, ani ojców starych, ani dzieciąt małych lub żony, co w domach zostały; więc niejednemu żalność wielka serce ścisłała, ale jednak szedł śmiało naprzód, ratować tę ukochaną, umęczoną matkę wszystkich nas — ziemię ojczystą.

Kiedy wszyscy wjechali w obszerny podwórzec klasztorny, gdzie już stały dla prostych żołnierzy postawiane na kozłach beczki z piwem i miodem, misy mięsa i bigosu, starszyzna weszła do refektarza, w którym czekały kobiety. Na pierwszym miejscu usadzono księdza Marka, bo czczono bogobojnego mnicha jak świętego. Zaczęła się uczta w poważnem milczeniu. Nie do żartów i śmiechów było biesiadnikom, gdyż wszyscy czuli, że ta konfederacja wielkie za sobą i ważne sprowadzi rzeczy. Pod koniec uczty wniosło czterech hajduków dwie ogromne misy, tak ciężkie, że choć chłopcy jak dęby, to jednak się pod niemi uginali; każda misa białą serwetą była przykryta. Wszyscy spojrzeli zdziwieni, coby to była za potrawa, na co pani starościna Pułaska, wstając z powagą, odkryła obie misy i pokazało się, że na jednej było pełno kul, a na drugiej obrazków Matki Boskiej, wycinanych na srebrnej blasze.

— Kochany mężu i wy, zacni panowie, — przemówiła dostojna niewiasta, — przez ten czas, kiedy wy radziliście, jakby kochaną ojczyznę ratować, my myślałyśmy, czemu by was też na tę wyprawę obdarzyć. I oto przez dwie nocy jedne z nas lały kule ołowiane, a inne malowały obrazki. Niechże ten wizerunek Najświętszej Panny chroni was od złych przygód, a każda z tych kul niech razi śmiertelnie wroga, któryby na życie wasze godził. — Po tej przemowie rozdały niewiasty każdemu z rycerzy po obrazku i po kuli.

— Hurra! niech żyją niewiasty polskie! — zagrzmiął okrzyk ze stu piersi, aż się echo po klasztornych korytarzach rozległo.

W tej chwili podniósł się ksiądz Marek, ustami ciicho poruszał, jakby odmawiał pacierze, po wychudłej twarzy i długiej do pasa brodzie lży mu grube kroplami spadały, oczy wzniosł do nieba i cały tak wyglądał, jakby już Pan Najwyższy powoływał go do Siebie.

— Bracia! — zawołał on wielkim głosem, — bracia ukochani, Bóg przemawia przez usta niewiast waszych! — Słuchajcież przeto ich głosu i posłuszni wezwaniu idźcie na bój krwawy.

— Idźcie na bój z wrogiem, co lży ołtarze nasze, co rabuje i morduje, co zabiera nam ojczyznę, wolność, życie.

— Zdrajcom biada! niech więc żaden nie odstąpi świętej sprawy, bo zaprawdę wam powiadam, iż nie minie straszna kara na tym, czy na tamtym świecie tego, ktoby zdradzić się poważył. Sam Bóg wszechmogący żąda od nas tej ofiary, na dowód zaś słowom moim, że i Chrystusowi Panu jest ta zмова nasza miłą, niech tu zaraz piorun trzaśnie!...

I w istocie stał się cud. Niebo jasne, lecz mroźne, jak to w suchym dniu zimowym bywa, pokryło się niespodzianie czarnymi chmurami, gdy zaś ksiądz Marek

mówić przestał, zapanowała na chwilę cisza, jak w grobie, nawet konie rzeń przestały, jakby czuły, że tu coś wielkiego dzieć się będzie. Czarne niebiosy zaiskrzyły się też nagle węzem ognistym, a głuchy, potężny ryk piorunu rozdarł powietrze, aż mury klasztoru się zatrzęsły i szyby omal z okien nie powylały. Bijąc się w piersi, padli więc wszyscy na kolana, a strach taki osiadł na sercach ludzkich, że oczów niemal podnieść nie śmieli na świętego mnicha, cudów twórcę.

Od tej chwili ksiądz Marek w jeszcze większem był poszanowaniu, jako widoczny szafarz łask i woli boskiej, stając się zarazem duszą konfederacji. Mnich ten świątobliwy wielkiego był rozumu i pobożności, to też zaledwie czterdziestu lat doszedł, a już go w klasztorze przeorem zrobiono, choć zwykle taką godność starcom tylko powierzano. Mógł on siedzieć sobie wygodnie w klasztorze, niby u Pana Boga za piecem, ale ks. Marek nic o sobie nie dbał i za przykładem świątobliwych pustelników umyślnie się umartwiał. Na gołem ciele nosił włosienicę, nie jadł zaś i nie pił nic prócz wody i chleba czarnego; a kiedy sypiał — to już nikt nie wiedział, bo nieraz późno w noc jeszcze widać było przez szczelinę u drzwi, jak siedzi schylony nad księgami, zanim zaś pierwsze kury zapały, już krzyżem leżał przed ołtarzem w kościele.

Przeor w klasztorze znaczy tyle, co kasztelan na zamku, mógł więc sobie ksiądz Marek mieszkać rozkosznie i w zbytkach opływać, tymczasem zaś cela jego była ze wszystkich najmniejszą i najuboższą; prócz stolika, stolka i gołego tapczana z desek, na którym nawet siennika kłaść nie dozwolił, nic w niej nie było. Na białej ścianie rozpinał tylko ramiona wielki krzyż czarny, który ksiądz Marek, gdziekolwiek szedł, niósł przed sobą.

Oszczędny dla siebie, przytulał zato świątobliwy karmelita całe ubóstwo z okolicy; co dnia aż czarno

było u furty klasztornej od biednego ludu, który się zbiegał do zacnego kapłana po radę, naukę, pomoc na wszystkie nędzy i frasunki. Ksiądz Marek nakarmił zawsze każdego, rany opatrzył, z choroby nieraz cudownie prawie wyleczył i taką dał modlitwę, co w każdej potrzebie odmówiona, skuteczną u Ojca Niebieskiego wyjednywała pomoc. Czasami bywało też, że i ostrych słów nie poszczędził, złażał, jak było o co, i zgromił, ale każdy wysłuchał w pokorze, bo wiedział, że mnich mu duszę mądrym słowem ratuje od zatury, a zresztą ksiądz Marek taką miał w całym kraju powagę, że i najwięksi panowie, hetmani, senatorzy, czcili go jak świętego, a choć nieraz przed całym ludem gorzkie im słowa prawdy z ambony wypowiedział, to po skończonym kazaniu jeszcze mu ręce całowali.

Martwił się ksiądz Marek, bolał, widząc, co się w kraju dzieje: jakie zepsucie, jaka wszędzie rozpusta i jak przez to kraj upada, a nieprzyjaciel się w nim rozpościera. To też, jak tylko szlachta zaczęła myśleć o wojnie z Moskalami, on pierwszy był do rady, a kiedy już w Barze konfederację uchwalono i zaprzysiężono, to wtedy z krzyżem i z procesjami chodził od wsi do wsi, od dworu do dworu, i kazał, i zachęcał, zaklinał ludzi, iżby szli do walki za wolność i wiarę, bo wybiła ostatnia godzina i czas się bronić, czas w grzechach opamiętać, a za ukochaną ojczyznę bodaj głową nałożyć, jeśli bowiem teraz wszyscy jak jeden nie staną do broni — to długo potem im przyjdzie pokutować, jęczeć w niewoli.

A naród się kajał, bił w piersi i słuchał ojca Marka. Jakoż wielu porzucało żony, dzieci, gospodarstwo, brali z sobą nieco pieniędzy, przyodziewku, broni i konie co najlepsze, a ciągnęli do Baru, zapisując się pod chorągiew pana Pułaskiego.

Niedługo też zebrało się do ośmiu tysięcy wojska konfederackiego. Regimentarze czyli pułkownicy podzie-

lili wszystkich zbrojnych na oddziały i ciągłemi napadami nękali wojska moskiewskie, które tamtędy przeciągały dla postrachu konfederatów. Z każdej takiej wycieczki wracali nasi jako zwycięzcy, a rozbiwszy w puch Moskali, zabierali im ludzi, broń, żywność, zawsze zaś tak cicho, składnie a niespodzianie ich opadli, że choć zazwyczaj wojska moskiewskiego trzy razy było tyle, nigdy się pobić nie dali. Sami Moskale dziwowali się temu męstwu konfederatów; nieraz bywało z którego krew się już lała, konia pod nim ubili, prawą rękę odcięli, to on szablicę do lewej przełożył, a ciął i rąbał wroga.

— *Czort siedzi w tych Lachach* — mawiali moskiewscy pułkownicy, a tymczasem to nie czart, tylko Pan Bóg w dobrej sprawie rękę ich prowadził, odwagi i sił dodawał. Kiedy konfederaci tak już raz, drugi i trzeci Moskwę pobili, a szlachta, tem zachęcona, coraz to liczniej cisnęła się do obozu, zaniepokoił się Repnin tym ruchem, widząc, że to nie przelewki, że Polacy podnoszą głowy do góry i gotowi wyzbyć się jego nieproszonej, niedźwiedziej opieki. Dalejże do króla Stanisława z pretensjami, że on na taki bunt w swoim państwie pozwala, nuże go straszyć, że *buntowszczyki* konfederaty, jak się wzmogą w siły, to gotowi porwać się i na króla, a może go i zamordować. Bóg świadkiem, że to była nieprawda, konfederaci tego tylko pragnęli, żeby król i wojsko królewskie z nimi się połączyło, bo wiedzieli, że wtedy wspólnemi siłami byłiby Moskali jak nie z Polski wyrzucili i znówby dawna swoboda, dawne dobre czasy wróciły. Posłali nawet do króla poselstwo i przedstawili mu wszystkie krzywdy i utrapienia, jakie kraj znosi od Moskwy, błagając zarazem, aby król jego mocą, co narodowi ojcem, opiekunem, prowodyrem być winien, stanął na ich czele z bronią w rękę, a wtedy i w ogień za nim skoczą i bez jego pozwolenia palcem nawet nie ruszą.

Żeby ten król miał więcej odwagi i mężniejsze serce w piersi, byłby się wzruszył błaganiem swego narodu i poszedł z nim na bój, na złą czy dobrą dolę; ale na nieszczęście Pan Bóg nas pokarał słabym królem, co się zawsze tylko na carowę moskiewską i jej posła oglądał i robił, co ci mu kazali. To też zamiast złączyć się z konfederatami, nietylko że Moskalom bić ich pozwolił i carowę o więcej jeszcze wojska prosił, ale nadto sam wyprawił kilkanaście tysięcy wojska polskiego, co było do osoby królewskiej przywiązane, pod wodzą pana Ksawerego Branickiego, żeby bili się z tymi, co im właśnie dawali przykład, jak należy w obrobie wiary świętej i ojczyzny stawać.

Smutno to nawet pisać o takich rzeczach, smutno, że się znalazł taki Polak niegodziwy, co się podjął podobnego kmoterstwa z Moskalami i do spółki z nimi pod Bar sunął, by pomagać toczyć krew własną.

Konfederaci w Barze sposobili się tymczasem do obrony. Doszły ich już słuchy, że znaczne wojsko moskiewskie pod wodzą jenerała Apraksina ciągnie na nich, a z drugiej strony znów Ksawery Branicki się przybliżył. Moskale byli bliżej, to też starszyzna uradziła, żeby nie czekać, aż się oba wojska złączą, słusznie sądząc, że mniejszemu prędzej dadzą rady, a tymczasem może się i pan Branicki opamięta, ruszy się w nim sumienie i jeszcze sam ze swemi szeregami do konfederacji przystąpi.

Jak skoro więc tylko Moskale niedaleko od Baru obozem się rozłożyli, rzucili się nasi do boju.

Straszna to była walka i nierówna. Moskalisków waliła się chmara okruteczna, a wszystko to żołnierz doskonaly, doświadczony, co był już nie w jednej bitwie; przytem kul, prochu posiadali coniemiarą i — co najważniejsza — dużo doskonałych armat. Nasi mieli tylko cztery małe armatki, ale nic to nie znaczyło, bo każdy konfederat miał odwagi i zapamiętałości za czterech.

Ze starszyny byli w Barze pan Krasieński, pan Joachim Potocki, no i pięciu dzielnych Pułaskich, z których zarówno stary ojciec, jak i młode syny, bili się niczem lwy rozżarte.

Rany boskie, jaki też tam bój wrzał, a kotłował się zawzięty!

Husarski mundur pana Kazimierza tylko się migał na wsze strony, a gdzie największa zbita się kupa, tam rąbiąc, siekąc, kłując, on sam jak piorun wpadał i trupami siał dookoła. Moskale przezwali go ptaszkiem, — *pticzkoj* — z powodu, iż w tylu miejscach odrazu być potrafił, a choć młode to było jeszcze pacholę, ani strach, ani kule go się nie imały.

Raz zobaczył zdaleka, że ojca tak już moskiewscy dońcy otoczyli, że chyba żyw od nich nie ujdzie; krzyknął więc tylko na wiernych swoich towarzyszy, Szyca i Goljana, i w mig już uderzył na tę zgraję, pośrodku której chwiała się biała kita u kołpaka pana starosty. Za nim popędził też mały kozaczek dworski, dla pięknego grania na teorbanie Bandurką zwany; trzymał on za uzdę drugiego konia dla pana starosty na wypadek, jakby jednego pohańcy ubili — a miał stać na boku i czekać rozkazu. Młodzi panicze przedarli się tymczasem przez zbitą gąszcz krzaków i wpadli na dolinkę, gdzie wrzał bój najsroźszy. Dońcy cisnęli się dokoła jak szarańcza, waląc i kłując spisami, a krzyząc tak przeraźliwie, że aż uszy ten dziki wrzask rozdzierał.

— Wiara i wolność! — krzyknął pan Kazimierz i rzucił się z całą siłą na wrogów. Dwóch zaraz padło od jego strzałów, pięciu powalili szeregowcy, co za nim jak wichur przylecieli. Dońcy zachwiali się i rozproszyli wobec tak niespodziewanego napadu, ale jeden z nich rąbnął jeszcze konia pana starosty. Gniady ogier przysiadł na zadzie, a starosta ledwie miał czas z niego

skoczyć, gdy wtem pan Kazimierz, jak zmierzy do tego dońca, co na ojca godził — tak go odrazu nieżywym powali przez łeb koniowi. Moskale zastraszeni ustępować poczęli, a starosta, lekko raniony, zawołał: — Konia, kto w Boga wierzy, niech mi da konia!

Jak z pod ziemi pokazał się w tej chwili kozaczek Bandurka, podając klacz siwą, którą od przypadku trzymał. — Tyś aż tu, chłopcze, — zdziwił się starosta. — Bóg ci zapłać, nie zapomnę o tobie i dobrze wynagrodzę.

I poklepał ręką po szyi śliczną klacz ulubioną, ale że ręką była cała we krwi, więc się zwierzę spłoszyło i ledwie je uspokoić zdołano. Była to piękna klacz czystej krwi arabskiej i wielkiej ceny. Wszyscy przyjaciele pana starosty ubijali się, aby mieć po niej źrebięta — a podobno ile ich potem miała, każde nosiło na szyi znamię w kształcie krwawej ręki. Nietylko jednak jej dzieci, ale jeszcze i wnuki nosiły tę pamiątkę bitwy pod Barem.

Szczęśliwie się ta bitwa skończyła dla Polaków. Moskale, choć z wielkim sromem, odstąpić musieli od Baru, zostawiając w rękach naszych przeszło stu niewolników, a zabitych i rannych coniemiarą; w dodatku pan Kazimierz tak się gracko spisał, że napadłszy ztyłu na obóz moskiewski, zabrał im kasę wojskową z 8 tysiącami dukatów. Kasa owa pozostawała pod strażą kilku starych żołnierzy i jednego oficera, który podpił sobie nieborak i chrapał koło kasy, a żołnierska grali w kości i również *wodkę* popijali, ani im zaś w głowie było, aby Polacy aż tak daleko zapędzić się odważyli. Wtém jak huknie im nad głową okrzyk konfederacki: — Wiara i wolność! — a pan Kazimierz na spienionym koniu jak burza spada z gromadą towarzyszy i prędzej, niż jeden pacierz mógłby kto odmówić, z oficera trup już tylko został, żołdacy porąbani, od-

dział zaś naszych wrócił do swoich z pieniędzmi, które naturalnie bardzo się sprawie konfederackiej przydały.

Na wałach zameczku barskiego, tam, gdzie bóg wrzał najzaciętszy, gdzie kule gęsto jak grad świstały, a od dymu z armat słońce się zaćmiło — stał ciągle nieustraszony ksiądz Marek z krzyżem czarnym w rękę. Gdzie widział, że na naszych bardzo już Moskale nacierają, w tę stronę krzyż swój zwracał, chcąc modlitwą i tym świętym znakiem zażegnać niebezpieczeństwo. Toż złościł się Moskale, mówiąc, że ten ksiądz to czarownik, i czegoż nie wyrabiali, żeby go zabić lub pojąć przynajmniej, bo im się zdawało — i słusznie — że gdyby zabrakło świętego kapłana, jużby i między konfederatami mniej było tej odwagi, zawziętości.

Ksiądz Marek nie bronił się; nie miał i nie chciał nawet mieć żadnej broni, prócz krzyża w rękę, a gdy go nasi, a zwłaszcza pan Kazimierz, osłaniali i chcieli ratować, mówił: — Idźcie, moje dzieci, dziś jeszcze oni mi nic nie robią.

I prawda, że nic mu zrobić nie mogli; kula, choć zmierzy już zda się prosto w głowę kapłana i konfederaci aż zadrzą, by co się nie stało duchownej osobie, a tu kula powietrze przesyje i bez skutku spada; co natrą dońcy, chcąc księdza wziąć na spisy, to spisą kolą mimo habitu, karmelita zaś tylko się uśmiecha i dalej gada z Bogiem, a dońcy aż zębami zgrzytają: co który wreszcie się przybliży, aby go ująć rękami — to ksiądz go tylko przeżegna krzyżem, a Moskal pada z konia jak długi. Nie dziw więc, że pouciekali Moskale wreszcie od niego wystraszeni, miotając jedynie przekleństwa.

Nad wieczorem, gdy już po bitwie wszyscy się uspokoili, a pan starosta capstrzyk kazał otrąbić i poleciał synowi, by przypilnował, aby nikt z obozu się nie wydalał, podchodzi naraz ksiądz Marek do młodzieńca, co strażę obchodził, i powiada:

— Panie starościcu, ponieważ tobie na tę noc komendę nad obozem zdano, a wszelkiego porządku pilnować należy, przeto przyszedłem zameldować się, że potrzebuję wyjść z obozu i proszę pana starościca, byś mię kazał wypuścić.

— I owszem, księżę dobrodzieju, wola twoja tu święta, ale dokądże to jegomość iść chcecie?

— Do obozu moskiewskiego.

— W imię Ojca i Syna! Co jegomość mówisz, a jakież tam możecie mieć interes? — zawołał pan Kazimierz zdziwiony.

— Wielki i pilny interes — odpowiedział ksiądz. — Pan Bóg mię tam posyła, Pan Bóg, który objawił mi, że jeden moskiewski pułkownik, ranny w dzisiejszej bitwie, jutra nie doczeka. On z naszej wiary, a choć takie szelmostwo popełnił, że do Moskwy przysłał, Bóg łaskawy, czuwając nad jego duszą, pozwolił mu zapragnąć księdza i świętej spowiedzi. Trzebaż mi zatem tam iść, na śmierć go dysponować.

— Przewielebny księżę, — odrzekł starościc, kłaniając się, — tyś święty człowiek, wiesz lepiej, co robić, ale pozwól sobie jegomość powiedzieć, że teraz noc czarna, do obozu moskiewskiego blisko trzy mile; zanim dojdiesz, tamten duszę odda, a ksiądz wpadniesz w ręce Moskali. Jak ciebie dobrodzieju zabraknie, to na naszych ludzi taki strach padnie, że nie damy już w żaden sposób rady Moskalom. Bierz lichy tego pułkownika, kiedy taki zaprzaniec!

— O! nie godzi się tak mówić, panie starościcu — przerwał sługa Boży. — Pan Jezus dał się umęczyć za wszystkich ludzi, a kiedy mi tam iść każe, to już jakoś poradzi, bym i tam trafił i nazad powrócił. Zobaczysz, że jutro rano o ósmej wyjdę ze mszą św. na wały, jako zwykle.

Pan Pułaski ze czcią księdza w rękę pocałował, a nie śmiejąc mu się już sprzeciwiać, przeprowadził go tylko za pierwsze strażę i długo patrzył, jak święty mnich zniknął w pomroce nocnej.

Jak się ksiądz Marek dostał do obozu moskiewskiego — to już tylko jemu i wszechmocnemu Bogu wiadomo. Czaty były gęsto porozstawiane, a jednak nikt wchodzącego nie widział, i kiedy nad ranem starszyna przysłała umierającego pułkownika nawiedzić, zastała z niemałym podziwem księdza Marka, jak słuchał grzechów konającego. Spowiedzi nie śmieli Moskale przerywać, kiedy jednak mnich bijącemu się z wielką skruczą w piersi pułkownikowi udzielił rozgrzeszenia i ten ducha z siebie wyzionął — przyskoczyli do księdza Marka z wielką uciechą, choć trochę i ze strachem.

— Już cię teraz nie puścim, księżę, dowiesz się na Sybirze, jaką nagrodę przysposabia najjaśniejsza carowa tym, co jej wojsku kule i spisy zamawiają. — Zaraz też wsadzili księdza na wóz między dwoma starszymi od dońskich kozaków, a pięćdziesięciu na koniach miało go pilnować, żeby nie uciekł, i wyprawili co tchu do Warszawy, ciesząc się już naprzód, jak to ich Repnin pochwali za dostawienie tak znamienitego brańca. Jadą tedy, jadą, a ksiądz, choć go raz wraz nagabują, nie odpowiada, jeno mówi pacierze, w niebo spoglądając. Naraz krzaki się rozstępują i komenda jakaś wojskowa do nich przyskakuje. — Kto taki? — Konfederaci.

Kozacy patrzą przed siebie, a tu obóz polski, co pod Barem był rozłożony. Moskalom mało oczy nawierzch nie powyłaziły z przerażenia i podziwu. Ci, co byli na koniach, dalejże w nogi, a tych, co na wozie siedzieli, kazał pan Kazimierz z woza ściągnąć i wiązać powrozami. Ale ksiądz Marek nuż prosić starościca, żeby tych jego przewodników, co choć bez własnej woli, zpowrotem jednak do obozu go odwieźli, wolno puścić. I tak

się też stało, bo księdzu nikt nie śmiał się sprzeciwić. Dalejże dońcy do nóg księdzu popadali, ze łzami przeprasząc, że poważyli się porwać na cudotwórcę. Wszystkich kozaków, a i tych dwóch starszych, cały dzień potem w obozie moskiewskim kijami bito, ale sława księdza Marka rozeszła się od tego czasu szeroko po świecie, a swoi i obcy patrzyli na niego już całkiem jak na świętego.

Szczęście konfederatów barskich przemieniło się jednak zczasem, a choć dzielnie się bronili i napadali na Moskwę, nie mogli przecież podołać, kiedy małą ich forteczkę z trzech stron ogromne wojsko ogarnęło. Z jednej strony stanął koło Baru generał Apraksin z wielką czernią żołdaków, z drugiej także moskiewski generał Weisman, a nadobitek pośredkiem zbliżał się na czele polskiego wojska królewskiego hetman Ksawery Branicki, o którym już wspominaliśmy. Na widok Branickiego i wojsk polskich, łączących się z Moskalami, ogarnęły taka żałość i taki ból srogi konfederatów, że już nie zdołali tak dziarsko jak dotąd bronić się. Ksiądz Marek krzyżem leżał na wałach w jękach, modlitwie i wzdychaniu, nie chcąc nawet patrzeć, jak jednej matki syny będą się z sobą potykali.

Od kul armatnich zapaliły się wszystkie domy w miasteczku tudzież wielkie zapasy siana i słomy, nagromadzone w forteczce. Żydzi jak oszaleli latali w koszulach, bo to było nad ranem; gwałt, huk wystrzałów, jęki rannych i konających, dym i płomień, wszystko to odjęło przytomność nawet najodważniejszym. Zdało się, że to już piekło na ziemi.

Bar został wzięty przez wojska moskiewskie i pana Branickiego, ale księdzu Markowi i całej starszyźnie udało się uciec szczęśliwie. Wielu schroniło się za Dniestr do Turcji, myśląc, że tam namówią sułtana do wojny z Rosją. Tymczasem Turkom niebardzo było w głowie Polakom pomagać, a nawet starego pana Pułaskiego

chwycili do niewoli, w której też i umarł, nie tak z choroby jak ze zgryzoty, widząc, jak cała sprawa, dla której poświęcił siebie, własny dobytek i ukochane działki, źle się obróciła.

Ale nie koniec był jeszcze konfederacji. Pan Kazimierz nie stracił odwagi, a że już głośno było po kraju, jaki to on wódz doskonały, choć jeszcze tak młody, więc też komu doskwirzyły moskiewskie rządy i gwałty, zapisywał się do konfederatów i pod wodzą młodego starościca szedł tłuc wroga; Moskale zaś coraz lepiej tobie hulali, widząc, że król, choć jeszcze siedzi na tronie, na wszystko im pozwala, byleby go tylko z królewskiego nie wygnali zamku.

Strach, co za gwałty i grabieże wyprawiali po kraju. Napadali dwory, sioła, rznęli bydło lub pędzili z sobą, zabierali cały dobytek, co tylko było droższego, a na końcu zwykle w czterech rogach ogień podkładali i cała chudoba, cała praca ludzka szła z dymem. A ile to razy rabowali klasztory i kościoły; z ołtarzy kielichy z Ciałem Pańskim ściągali, jak im tylko zabłyśło złoto. Księży katowali okrutnie i nieraz póty bili nahajkami, aż ciało kawałkami zaczęło od kości odpadać, wrzeszcząc ciągle, by oddali pieniądze. Trudno nawet opowiedzieć, co za okrucieństwa wyrabiali z jeńcami, zabranymi w boju: pasy z nich darli, na pal wbijali, za brody na drzewach wieszali; kobiety jak złapali, to im piersi odrzynali, żeby już nigdy *Lachów* karmić nie mogły.

A na to wszystko patrzył król — niedołężny, tchórzliwy; patrzyło i wielu panów i senatorów, zaprzeczanych moskiewskiej carowej.

Książdz Marek nie próżnował; chodził od wsi do wsi i namawiał ludzi do wojny z Moskwicinem.

— Za miłą ojczyznę nie można wojować językiem, — mawiał zawsze, — trzeba się dobrze bronić, o, trzeba... to nie wojna z Tatarzynem, co huknie, stuknie,

tu porwie konia, tam człowieka — i co tchu ucieka. Moskvicin skrada się jak lis, a dusi jak niedźwiedź. Niby udaje zgodę, przyjaźń, ale biada krajowi, jak się w nim zagospodaruje. Ot — siedmdziesiąt lat temu, jak go król August Sas tylko puścił na próg, a jak zaczął słać sobie gniazdo, tak i nam już na własnej ziemi miejsca braknie. Ani rusz go wysadzić — choć proch podkładaj. Pojedynczo nic mu nie zrobimy, ale kupą, bracia, toć przecie przy Boskiej pomocy — może i zdusimy tego smoka, co paszczę na nas otwiera.

Szły też za pobożnym mnichem ludu gromady wielkie, a on to wszystko prowadził pod komendę pana starościca, który teraz, jak skoro ojca u Turków uwięziono, został naczelnikiem całej konfederacji. Jedna, druga i dziesiąta bitwa z Moskałem szczęśliwie mu się udała, więc też naród nabrał znów trochę odwagi i dalej się w kupy zbierać i w porządne wojsko szykować. Tak tedy jak się do kilku tysięcy nagromadziło, zamknął się z nimi młody Kazimierz Pułaski w mieście Berdyczowie na Podolu i nuż się tam okopywać i do większego sposobu z wrogiem spotkania.

IV.

Widzieli już Moskale, że dopóki pięciu dzielnych, nieustraszonych Pułaskich przewodzić będzie wojskom konfederackim, to nie dadzą chyba im rady, choć mieli dużo więcej żołnierzy i broń doskonałą i coraz świeższą pomoc czyto od króla Stanisława, czy też od carowej Katarzyny; ucieszyli się załem niemało, że stary pan Pułaski, jak raz Dniestr przeszedł, a Turcy go tam przychycili, tak już nie mógł wrócić do kraju. W dodatku niektórzy panowie polscy, choć sprzyjali konfede-

racji, zazdrościli panu staroście, że taki sobie posłuch i poszanowanie między wszystkim wojskiem konfederackim zdobyć potrafił. Wszędzie na świecie, a osobliwie na wojnie, muszą koniecznie jedni rozkazywać, a drudzy słuchać, ale w naszej nieszczęśliwej Polsce to już po wsze czasy tak bywało, że nikt posłuchać nie lubił, a każdyby chciał przewodzić i dużo z tego powodu złego i nieszczęścia wynikało. Tak samo stało się i tutaj.

Chociaż w Barze starszyzna sama obrała sobie pana Pułaskiego naczelnikiem całej barskiej konfederacji i marszałkiem go zgodnie okrzyknięto, to jednak potem to przełożenie pana starosty zaczęło się przykrzyć, zwłaszcza różnym paniczom z magnackich rodzin, którzy nosem krzywili na to, że nie żaden familjant, ale prosty szlachcic im rozkazuje; osobliwie że stary Pułaski bardzo był surowy i sprawiedliwy i, czyto jaki książę, czy zwykły żołnierz, czy syn jego własny coś przeszkrobał, polenił się lub nie posłuchał, złażał nieraz przed całym wojskiem, a jak uważał, że należy, to i do aresztu o chlebie i wodzie zasadził. Zaczęli tedy sarkać różni pankowie, zazdrościć panu Pułaskiemu godności, a znaleźli się i tacy niegodziwcy, co go pomawiali, że tylko przez pychę do konfederacji się zapisał, by móc rządzić i przewodzić, a nawet ważyli się szeptać po cichu, że on kraj zdradza i na złe prowadzi. Szkaradnie to jest, jak się rodacy, a więc swoi, między sobą waśnią, kłóca i o złe zamiary podejrzewają, i to jeszcze w takiej ciężkiej dla kraju chwili, kiedy właśnie wszyscy w zgodzie i jedności łączyć się byli powinni, by wspólnego a straszego wroga pokonać.

Gryźł się też biedny, stary pan Pułaski w niewoli tureckiej, że nie może wracać do kraju, gdzie widział, że jest potrzebny, bo Moskale coraz to śmieiej się rozpościerają, a synowie jego młodzi i niedoświadczeni; bolał także okrutnie, gdy go słuchy dochodziły, jak go

ludzie szkalują i pomawiają, choć Bóg widział, jaka to była niesprawiedliwość. Pułaski nietylko że sam we wszystkich bitwach z Moskalami dobrze karku nadstawił, aleć przecie porzucił cały dom, gospodarstwo, choć wiedział, że mu niszczało; wszystkie, co miał, pieniądze, porządki, oddawał do kasy konfederackiej, a wreszcie, co najważniejsza, ofiarował na bój z nieprzyjacielem wszystkich swoich synów, największą swoją dumę i pociechę, bo przecież nic niema droższego dla serca rodzica — jak dzieci — i to takie już odchowane, a pocziwe. Najdzielniejszy z owych dzieci starościńskich, t. j. młody pan Kazimierz, nie tracił tymczasem ducha, lecz przeciwnie szarpał, zaczepiał, niepokoił wroga. Moskale narzekali, że ich małe oddziały Polaków gnębią więcej jak inna jaka wielka wojna, bo gdzie tylko się rozłożyli obozem na odpoczynek, gdzie tylko spoczęli, zabawili się trochę, już wnet mieli na karkach konfederatów, co spadali niespodzianie jak burza: bili, łukli, a zabierali konie, strzelby, żywność — co się dało.

Zamknąwszy się w mieście Berdyczowie, chciał się tu młody starościec na dłużej rozłożyć, a umocniwszy się, wypędzić Moskali z całego Podola, gdzie ta szarańcza najwięcej dawała się we znaki. Z początku konfederatom dobrze się wiodło, a kilkakrotnie napadających na Berdyczów Moskali odpędził Kazimierz Pułaski i ubił im wielu ludzi, kilkuset nawet wziął do niewoli, choć oni mieli zawsze cztery razy większe wojsko niż konfederaci, a przytem armaty, bagnety i wszystko, czego tylko potrzeba było. — A nasi co? — liche strzelby, do których często nawet kul i śrutu brakowało i tylko kamykami nabijać je było trzeba. Ileż znowu razy, gdy nieprzyjaciel nie dopuścił do miasta żywności, trzeba było iść do bitwy o głódzie, że aż w żołądku kurczyło, nigdy jednak nie było przykładu, żeby konfederaci stchórzyli, uciekli, poddali się. Sami Moskale mówili, skarżąc się, że można ich porąbać, zabić, ale nigdy

zwyciężyć, bo Polak, póki tylko jeszcze dycha, broni z ręki nie wypuści.

W Berdyczowie zajął młody Pułaski ze swem wojskiem klasztor OO. franciszkanów, położony w samym środku miasta. Budynek ten murowany, o grubych ścianach, można było łatwo zamienić w obronną fortecę. Jakoż rażno zabrali się konfederaci do sypania wałów, kopania rowów; ale gdy ludzie w połowie byli roboty, dano im znać, że przeszło 7.000 wojska rosyjskiego ciągnie pod Berdyczów, a z niem tacy doskonali i doświadczeni jenerałowie moskiewscy, jak Apraksin, Weisman i Kreczetników. Przestraszyli się konfederaci i cała ludność Berdyczowa jęczeć i narzekać zaczęła, bo jak się tu mierzyć z tak wielkiem wojskiem; młody Kazimierz i ksiądz Marek nie dawali ludziom upaść zupełnie na duchu. Oni obaj wszędzie byli, wszystkiego pilnowali, żadnej sobie nie dając wygody, a patrząc na nich, wojsko i naród nabierały odwagi i nadziei. Przez trzy tygodnie bronił się Berdyczów, choć od Moskali nie miano ani chwili wytchnienia, ci bowiem tak armatami swemi porozbijali mury, że już jak strzepy wisiały; ale co popsuli Moskale w dzień, to zaraz w nocy mieszczańskie, a nawet i kobiety, zatykali, lepili, naprawiali. Najgorsze było to, że głód zaczął strasznie dokuczać obłożonym. Moskale dobrze zrozumieli, że choćby najdzielniej wojsko polskie się broniło, to wreszcie z głodu osłabnie i przyjdzie taka godzina, że dłużej nie będzie mogło wytrzymać. Więc też całe miasto obstawili naokoło i nie dopuścili ani jednej fury, ani jednego człowieka, coby bodaj w worku odrobinę jakiejś choćby najlichszej strawy przyniósł.

Już nawet i starszyzna od kilku dni nie prócz wody w ustach nie miała; straszne boleści kurczyły im wnętrzności, ślaniali się przeto, a niektórzy na koniach nawet utrzymać się nie mogli. Jeden ksiądz Marek zdawało się nie czuje głodu, niewyweczasu; ale to już Pan

Jezus taką łaskę snadź okazał Swemu świętemu słudze; innym, zwykłym ludziom nie można się było z nim mierzyć. Wszyscy ranni, umierający, za księdzem Markiem tylko spoglądali, nie mieli spokoju, póki on ich nie wyspowiadał, nie pocieszył słodkimi słowy, nie zapatrzył na podróż ostatnią. Nie czuli bólów, nie lękali się śmierci, jeśli zoczyli nad sobą czarny krzyż i poważną postać świętego mnicha.

Nakoniec jednak nie można się było bronić dłużej. Młody Pułaski nie mógł brać na swoje sumienie tyle życia ludzkiego, a widział, że jeśli nie od kuli nieprzyjacielskiej, to z głodu zmarnieją wszyscy. Kazał więc bramy otworzyć, ale wprzód ułożył się ze starszyzną moskiewską, że wszystkich konfederatów wolno wypuszczą z miasta, żadnej krzywdy ani obrazy im nie czyniąc.

Zgodzili się Moskale na wszystko, byle tylko raz już dostać Berdyczów, bo dużo bardzo przy oblężeniu ludzi stracili, a przytem ciągle Repnin z Warszawy słał pisma i urągał, że takiej małej, lichej forteczce i garstce zbiedzonych, wygłodniałych ludzi, rady dać nie mogą. Że słowu Moskwicina wierzyć jednak nie należy, bo to urodzony kłamca i przeniewierca — okazało się i pod Berdyczowem. Wojsku konfederackiemu — coprawda — wyjść swobodnie z miasta pozwolili Moskale, tak jak przyrzekli, zatrzymali jednak w niewoli dwóch najważniejszych ludzi, t. j. księdza Marka i młodego Pułaskiego. Wiedzieli, że za nimi konfederaci w ogieńby poszli, wiedzieli, że jeden słowem, a drugi szablą cudów dokazują, że gdzie się pokaże poważna postać karmelity lub jasna, dziarska twarz młodego rycerza, tam przybywa serca i odwagi — zatrzymali więc ich obu w więzieniu.

Więcej jeszcze — bojąc się, aby im ten *czarownik*, jak nazywali księdza Marka, nie uciekł, a konfederatów nie buntował do nowej z nimi wojny — mieli śmiałość

niegodziwcy skazać tego świętego mnicha na śmierć. Gdy mu to powiedzieli, zacisnął tylko mocniej w rękach swój krzyż czarny, którego nie mogli mu odebrać, wznosił oczy w niebo, a modląc się, tak się jasno uśmiechnął, jakby już widział aniołów niebieskich, z którymi się miał wkrótce połączyć.

Prości ludzie pokazali tymczasem, że więcej uczciwości i bojaźni Bożej w sercu mają od swoich dowódców i naczelników. Kiedy mianowicie wyprowadzili mnicha na plac, gdzie go mieli tracić, chcieli go niektórzy przywiązać do słupa, jako jest we zwyczaju. Ale on wstrząsnął tylko swoją długą brodą i rzekł: — Nie trzeba, ja się i tak nie ruszę — strzelajcie. — Wtedy żołnierze zamiast strzelać upadli na kolana, bić się poczuli w piersi i rąbek habitu całowali, a kając się, że śmieli pomyśleć, by na niego rękę podnieść, prosili o błogosławieństwo świątobliwego kapłana.

Jenerałowie kazali tych żołnierzy precz odpędzić a zawołać drugich, aby strzelali, ale ci tak samo trzęśli się niby liście osiki i padali twarzą do ziemi, nie śmiejąc spojrzeć w oblicze biednego skazańca. Rzucił się i miotał Apraksin, ale bał się, żeby mu się całe wojsko nie zbuntowało, więc puścił księdza wolno, a on wyszedł z Berdyczowa i dalej o głodzie i chłodzie, raniąc bosc nogi o kamienie, chodził po kraju, by zagrzewać ludzi do walki za wiarę i za wolność.

Kazimierza Pułaskiego puścili Moskale w kilka tygodni później, ale przedtem zmusili go, iż podpisał pismo, że sam już do konfederacji nie będzie należał, ani też bić się nie będzie z Moskalami, a także innych konfederatów namówi, żeby broń złożyli. Długo się młodzieniec wzbierał, nie chcąc podpisać takiej deklaracji, której wiedział że nie dotrzyma, bo uczciwy człowiek nie chciałby nawet wrogowi słowa łamać, a kłamstwo mu ciąży na duszy jak zmora. Dopiero więc wierni towarzysze Pułaskiego i przyjaciele, pan Szyć i pan Goljan,

którzy go nigdy ani na chwilę w żadnej nie opuścili potrzebie, nuże go namawiać, a perswadować: że powinien to zrobić dla sprawy narodowej, dla dobra konfederacji, która bez niego pójdzie w rozsypkę; że oni wszyscy błagają go, żeby ich nie opuszczał i nie zostawał tu w mocy wrogów, bo wtedy już nie dobrego dla kraju nie będzie mógł zrobić. Tak wreszcie przekonali młodzieńca, żeby się ratował i z rąk moskiewskich uwolnił. Podpisał tedy pan Kazimierz jaką chcieli deklarację, ale ledwie dostał się na swobodę, wysłał zaraz list do księcia Repnina w Warszawie, donosząc, że przyrzeczenia, wydartego przymusem, ani myśli dochować, i póki siły w ręku, a tchu w piersiach starczy, wojować będzie z Moskałami, broniąc nieszczęśliwej ojczyzny i wiary świętej.

Zaraz też zaczął zbierać rozproszonych konfederatów, którzy, porozpędzani przez Moskali, kryli się po dworach, po lasach, po klasztorach i wiejskich chałupach. Zasłyszawszy następnie, że w Krakowskim zbiera się kilka oddziałów konfederackich pod przewodnictwem różnych dzielnych młodych pułkowników, jako to: Bierzyńskiego, Dzierżanowskiego i Zaremby, puścił się ku nim, tłukąc do drodze małe kupki Moskali, włóczące się dla rabunku i postrachu po całym kraju.

V.

Nie wiedziała już carowa Katarzyna, jak sobie radzić z Polską, żeby ją prędzej zmóc, osłabić i zagarnąć na własność. Myślała, że gdy osadzi na tronie słabego, niedołęznego króla, pójdzie już wszystko jak z płatka, a tu pokazało się, że naród i bez króla sobie radzi, a zgnieść i zhańbić się nie daje. Strasznie tedy nie

w smak carowej była cała owa konfederacja barska, bo się przekonała, że choć są już między Polakami zdrajcy, zaprzańcy i pochlebny, co tylko o własnej myśli korzyści, to jednak daleko jeszcze jest więcej zacnych obywateli i tęgich rycerzy, poświęcających wszystko dla miłej ojczyzny, i z nimi niełatwo będzie można sobie poradzić, a przytem dużo wojska stracić przyjdzie.

Zaczęła więc carowa Katarzyna medytować, coby Polakom najwięcej mogło zaszkodzić i dokuczyć. I wymyśliła też, oj, wymyśliła ta niegodziwa kobieta coś takiego, za co — choćby wcale zresztą nie zgrzeszyła — nigdy z piekła nie wyrzy, bo i sam Pan Bóg nie może mieć miłosierdzia za takie zbrodnie, do jakich ona ludzi doprowadziła.

Na Ukrainie, z jednej i drugiej strony wielkiej rzeki Dniepru, mieszkał zdawna lud, zwany kozakami. Był to lud odważny, bitny, trochę dziki, bo w tych swoich ogromnych stepach nie widywali kozacy nikogo obcego i nic świata nie znali; mówili po rusku i byli religii prawosławnej, to jest schizmatyckiej, ale zdawien dawna należeli do Polski; razem z Polakami chodzili na wojny, razem zło i dobro przebywali. Tymczasem carowa, chcąc narobić Polsce kłopotu, porozsyłała swoich ludzi z rozkazem do popów prawosławnych, co tam na Ukrainie między kozakami siedzieli, żeby chłopów buntowali przeciw księżom łacińskim i polskim panom, czyli Lachom, jak ich nazywali. Dalejże więc poczęto podmawiać kozaków, żeby rznęli Lachów. Wysłańcy moskiewscy poili ich wódką po karczmach i bałamucili, okłamywali, że posiądą wszystkie te bogactwa, jakie są po dworach szlacheckich, że jak Lachów wyrzną, to już nikt im nie będzie rozkazywał, ni podatków wybierał, sami się będą rządzić i w dostatki tak opływać, że już słoniny, gorzałki lub miodu, nigdy im nie zabraknie.

Ciemni chłopci dali się obałamucić tym obiecankom i uwierzyli, że najjaśniejsza carowa, co się o nich do-

tychczas ani zaturbowała, teraz raptem przez przyjaźń dla kozaków frasuje się tak ich dolą, a nawet przysyła im z miłosierdzia poświęcane w cerkwiach noże. Znalazło się też zaraz sporo takich hersztów, co woleli palić, mordować, rabować i żyć choć z cudzego ale z gotowego, niż siedzieć na zagonie i w ciężkim pocie a uczciwie rolę uprawiać. Między wszystkimi zaś najgorszym okazał się jeden szczególnie kozak, nazwiskiem Żeleźniak. Śmiały, dziki, okrutny, istny zwierz w ludzkim ciele, obwołał się on naczelnikiem, prowodyrem tych opryszków bez serca i sumienia i dalejże ich prowadzić po wsiach, folwarkach i miasteczkach. Straszne też rzeczy dziać się poczęły; aż włosy na głowie powstają, a krew w żyłach zastyga, jak się wspomni, co ci niegodziwcy wyrabiali. Ludzie, jak się rozbestwią, a przykazań Bożych zapomną, to gorsi są od dzikich zwierząt. Wysłancy carowej starali się, aby buntownicy zawsze poddostatkiem wódki mieli, a wiadomo, że po pijanemu to się ludzie najhaniebniejszych zbrodni dopuszczają i całkiem rozum i umiarkowanie tracą.

Nie pamiętając, ile to oni od tych samych Lachów dobrego zaznali: obrony przed wrogami, poratowania czyto w głodzie, czyto w pomórku, czy w jakiegokolwiek potrzebie; nie bacząc wreszcie, że to są ludzie tak samo jak oni, chrześcijanie — ciągnęło kozactwo wielką kupą, krzycząc, pijąc, paląc i mordując. Żeleźniak ich prowadził, a niedługo złączył się z nimi i drugi kozacki przewódca, nazwiskiem Gonta, co był przełożonym nad dworskimi kozakami pana Potockiego. Zdradził on swego pana, choć ten był dla niego jak najlepszy, i uwierzył głupim pogwarkom, że skończyło się pańskie, a zacznie się teraz kozackie panowanie. Dzicy ci ludzie, rozbestwieni pijaństwem i krwią, zniszczyli całą piękną, żyzną Ukrainę, a gdzie przeszli, zostawiali po sobie gorzej niż Tatarzy pustkę, trupy i zgliszcza. Niczego nie uszanowali, nic dla nich świętego nie było; niedość, że rábo-

wali szlachtę i mieszczan, ale — o zgrozo! — zdzierali nawet z ołtarzy co się dało, jako to kielichy, monstrancje złote i srebrne, krzyże, korale, perły z obrazów i t. p. Nigdzie zaś już tak sobie nie pozwalali, jak w jednym z większych miast na Ukrainie, a mianowicie w Humaniu. Tu schroniło się mnóstwo księży, szlachty, mieszczan i katolickiego ludu, a także i żydów, którzy myśleli, że w mieście i razem łatwiej się będzie można obronić, zwłaszcza, że była tam forteca o grubych murach, wałem otoczona. Wtedy to właśnie Gonta, któremu powierzono komendę nad kilku tysiącami dworskich kozaków pana Potockiego, a zarazem zdano opiekę nad tą siłą nieszczęśliwego, zbiedzonego ludu, kobiet, co niby tropione przez psy sarny, tutaj szukały obrony i poratowania — zdradził wszystkich, bo — jak się pokazało — był jednego ducha z *rezunami* (tak tych hajdamaków nazywano) i wpuścił ich do miasta i fortecy. Teraz dopiero obaj hersztowie, powitawszy się wzajemnie, nuże szaleć poczęli, a używać bez żadnego upamiętania. Samych dzieci małych, niewiniątek, nakłuli i nasiekli tyle, że trzy studnie niemi po wierzech zapełnili. Poleciały duszyczki tych aniołów niewinnych przed tron Boga Najwyższego i tam, zamienione może w kwiaty lub chmurki, skarżyły się na swój los nieszczęśliwy, na nieszczęście kraju całego, skarżyły się nietylko na tę czerń ciemną i dziką, co bez rozumu i sumienia z nożem w rękę spustoszenie szerzyła, ale i na tych — bez zaprzeczenia jeszcze winniejszych, bo mądrych, rozważnych, a niczem wąż chytrych, co podstępnie a złudnie biedny prosty naród obalamucili, dusze nawet jego na wieczne oddając potępienie.

Wyrznawszy cały Human, rozbiegli się rezuny po okolicy, mordując i paląc coraz już śmieiej. Sami Moskale zatrwożyli się wreszcie tą swoją robotą; oni myśleli, że tylko nastraszą konfederatów, którzy, chcąc rodzinę i chudobę ratować, porzucać będą konfederację,

a do domów wracać; a to tymczasem konfederaci, przysięgłszy raz krajowi i Matce Bożej, że za Nią wojować będą, nie opuszczali szeregów i choć im serce zamierało z bólu i trwogi na myśl, co się też tam dzieje z najmilszą dźwiatwą, żonami, matkami, z całym dobytkiem, w krwawym znoju zdobytym, zacisnęli tylko zęby i z tem większą zaciętością tłukli Moskali, sprawców wszystkiego złego. A czerń hajdamacka, zasmakowawszy już raz w grabieży i mordzie, rznęła, nie przebierając, tak, iż wkońcu przeszli rezuny i granicę moskiewską i dalejże tam żydów, szlachtę rosyjską, a nierzadko i popów oprawiać po swojemu.

Moskale, widząc, że źle jest, że na taką rzeź dłużej pozwolić nie można, boby hajdamaki ogromny szmat kraju w pustynię zamienili, wyprawili do nich poselstwo, mówiąc, iż dla prędszego wytępienia na całej Rusi Lachów, łacinników i żydów, najjaśniejsza imperatorowa posyła im w pomoc regularne wojsko z armatami i generałem Kreczetnikowem na czele — niechże się zatem zbiorą w kupę i razem w jedną siłę połączą.

Żeleźniak i Gonta zdumnieli okrutecznie od tego poselstwa i już niczem jacy baszowie dąć zaczęli a przewodzić, myśląc — rychło ich też carowa jejmość hetmanami zrobi, a może jeszcze w senatorskiem posadzi krześle. Zebrali zatem wszystkie oddziały rezunów do jednej kupy, żeby się okazalszem wojskiem przed Moskalami popisać, i dalejże przez parę dni razem pić a hulać. Raptem, kiedy się hajdamaki całkiem już w przyjaźni moskiewskiej ubezpieczyli, obstało ich porządne, regularne wojsko Kreczetnikowa i polskiego hetmana Branickiego, którego tu król przysłał, a schwytawszy hersztów Żeleźniaka i Gontę, bagnetem i armatą połowę wymordowali. Co najgłówniejszych prowodyrów wyłąpano, żeby ich dla przykładu w strasznych mękach życia pozbawić; skutych więc w dyby przyprowadzono do Lwowa i tu każdego podług złości jego i okrucieństw

pod sąd oddawano. Straszne to sądy były, a na samo wspomnienie mąk, jakie ci ludzie ponosili, aż mrowie człowieka przechodzi; ale też zasłużyli na to okrutnicy, bo i sami nad ludźmi żadnego nie mieli miłosierdzia. Żeleźniaka żywcem ćwiertowano na sztuki, a nad Gontą jeszcze gorzej się sąd i oprawcy znęcali, bo on podwójny był zbrodniarz — zdrajca i morderca. Niedosć na tem, jeszcze i na tamtym świecie pokuta ich nie ominęła, bo zatwardziali okrutnicy nie chcieli nawet żałować przed śmiercią za swe grzechy, a Bóg, choć miłosiwny, lituje się nędzom i słabościom ludzkim, umie być jednak strasznym sędzią dla takich bezbożnych zdrajców i morderców.

Bunt ten kozacki nazywają po dziś *humańską rzezią*, ponieważ najwięcej miasto Humań i jego okolica naówczas ucierpiały. — Niedługo na szczęście trwał ten straszny dopust Boży i jeszcze lepiej otworzył Polakom oczy, jak niegodziwi są ci opiekunowie nasi, Moskwićini i ich okrutna carowa, kiedy się takich sposobów imają na pogńębienie Polski i nieszczęście całego narodu.

VI.

Wydostawszy się szczęśliwie z Berdyczowa, zabrał się młody, dzielny Kazimierz Pułaski do formowania nowych szeregów dla obrony wiary świętej i ojczyznego kraju. Rozproszeni po różnych kryjówkach konfederaci, skoro tylko zasłyszeli, że Pułaski jest wolny, wnet zbierać się koło niego poczęli, tworząc oddział z kilkuset ludzi. Bracia Kazimierza, mimo iż byli bardzo młodzi, niemal dzieciuchy, którym niktby się nie mógł dziwować, choćby zbiedzeni a zastraszeni wojną do domu powracali, nie ustąpili ani na krok, tłukąc ciągle gdzie

i jak się dało Moskali. Taka to już była zacna krew u tych wszystkich Pułaskich. Zwykle też tak bywa, że całym gniazdem dobre albo i parszywe owce się rodzą. To samo i o ludziach powiedzieć można, że gdzie w jakim domu cnota i obyczajność zamieszkają, tam najczęściej już z rodziców na dzieci bojaźń boska i poczciwość przechodzą.

Pan Kazimierz namyślał się, w którąby stronę kraju ze swoim oddziałem się zwrócić, by jak najpożyteczniej konfederackiej sprawie służyć, a darmo ludzi nie marnować. Doszły go słuchy, że koło Krakowa gromadzą się kupy konfederatów, a sam Kraków już od kilku tygodni oblegają Moskale i rady mu dać nie mogą.

Kraków — to stolica i serce naszej dawnej Polski; od wieków tam się królowie koronowali i zasiadali na tronie, a choć już później stolicę kraju przeniesiono do Warszawy, to jednak w Krakowie składano kości naszych królów, gdy z tego zeszedli świata, i tam do grobów na zamku wawelskim przywożono ich szczątki. Co tam pamiątek, co starożytnych, prześlicznych kościołów.

Nie dziw też, że nasi bronili zawzięcie tego grodu, drogiego każdemu sercu uczciwego Polaka. Mała garstka konfederatów pod wodzą Zaremby i Dzierżanowskiego trzymała się dzielnie i desperacko broniła miasta, choć już tchu w piersiach ze znoju brakowało, najbardziej jednak dokuczał obłożonym brak żywności, kul i prochu, bo Moskale nie przypuszczali nikogo do Krakowa. Wreszcie którejś ciemnej nocy wybrał się oddział z kilkuset konfederatów, żeby w okolicznych wsiach choć trochę jakiego jądła schwycić i przywieźć zgłodniałym i wynędzniałym konfederatom. Ale właśnie wycieczka ta zgubiła Kraków, bo Moskale zauważyli prześlizgujących się jeźdźców, napadli na nieprzygotowanych i wszystkich pochwytili. Wojska konfederackiego posiadał Kraków wogóle bardzo mało — to też gdy mu zabrakło jeszcze

kilkuset najdzielniejszych zuchów, a żywność i pomoc znikąd nie nadchodziły, musiało się miasto ostatecznie poddać.

Dnia 18 sierpnia 1769 roku weszli Moskale przez powyszczerbiane armatami bramy, a rozżarci długiem obleganiem i wyczekiwaniem, zaczęli strasznie palić i rabować. Mieszkańcy pochronili się do kościołów, ale miejsce święte ich nie obroniło. Rozjuszony żołądactwo wywlekało przemocą nieszczęśliwych, pastwiąc się w straszny sposób, aż wkońcu starszyzna moskiewska poskromiła dziec rozhukaną i zaczął się sąd na konfederatów. Komu nie udało się umknąć z miasta, tego albo wrzucano do więzienia, albo pognano na Sybir.

I poszło znów kilkuset męczenników, co ten jedyny grzech mieli na sumieniu, że nie chcieli się zaprzedać wrogowi, a kraj i wiarę św. kochali nadewszystko; poszli na kraj świata, na tułaczkę, prześladowanie i poniewierkę. Całe setki mil wędrowali pieszo, odchodząc coraz dalej od swoich domów, od rodzin, od grobów, gdzie leżały dziady i pradziady. Niejeden nie miał sił na tę straszną wędrówkę i pod knutami pędzących żołdaków padał martwy na drodze wśród lodów i śniegu; bez pogrzebu więc, bez ostatniej pociechy, księdza ni spowiedzi, zostawał sam jeden na obcej, niegościnnej ziemi, a wilki i kruki nie dopuściły nawet martwemu ciału spokojności, szarpiąc szponami lub zębami umęczony już za życia członki. Ale duszyczki zato tych męczenników zbierał Pan Jezus miłosierny i oddawał w niebie Matce Swjej Najświętszej. Panienska cudowna składała je wszystkie w Swój płaszcz błękitny, gwiazdami usiany, i słodko się uśmiechając, tuliła do boskiego łona, a chóry anielskie śpiewały: „Chwała na wysokości tym, co poświęcić się dla dobrej, świętej sprawy potrafili!...”

Pan Kazimierz Pułaski dążył właśnie ze swoim oddziałem pod Kraków i już był niedaleko, gdy się dowiedział, że miasto opanowali Moskale: widząc, że nie

ma tu co robić, bo za małe miał siły, by zaopatrzonemu wojsku dać radę, a dobrowolnie nie chciał przecież wleźć wrogowi w łapy i dać się zesłać na Sybir lub zakuć w dyby, cofnął się natychmiast i szedł ku Dniestrowi. Wybrał on dlatego tę stronę kraju, bliżej Turcji leżącą, że ciągle jeszcze liczył na pomoc turecką, a przytem miał nadzieję, że uda mu się oswobodzić starego ojca, którego z niewoli nie wypuszczono za staraniem i podjudzaniem carowej Katarzyny. Stu ludzi pilnowało pana starosty i odpowiadało głowami za niego; tak więc starzec, poświęciwszy całe życie ojczyźnie i dobrej sprawie, kończył wędrówkę ziemską w niewoli, wśród straży i więzienia, niby zbrodzień jaki. Nikomu z przyjaciół, ani żonie, ani dziecku nie pozwolono być koło niego, tylko kozak, imieniem Zawierucha, który od dziecka był w usługach pana starosty, jak syn rodzony przywiązany doń i wierny, wyprosił sobie, że mu koło pana zostać dano. Ten Zawierucha był to człek dziwnie sprytny a odważny, w niejednym on już ciężkim wypadku swemu panu usłużył, a nawet kilka razy wyratował go od śmierci. Teraz również, pomimo czujnej straży, przekradał się Zawierucha raz wraz ku polskiej granicy, aby tam zasięgnąć języka, co słychać w kraju, czy się też dalej biją konfederaci z Moskałami i z jakim szczęściem i co porabia cała rodzina Pułaskich.

Wiadomości te były całą pociechą nieszczęśliwego więźnia, zwłaszcza, gdy go dochodziły słuchy o waleczności synów, o dzielności i rozumie najstarszego, który tak rósł u swoich w powadze i zaszczytach, że go już nawet na miejsce ojca marszałkiem konfederacji obwołano. Zasłyszawszy, że Kazimierz stara się dostać za turecką granicę, aby ojca z rąk niewiernych oswobodzić, wysłał pan starosta potajemnie przez zaufanego Zawieruchę kartkę do syna, w której pisze i rozkazuje pod błogosławieństwem — aby się nim nie zajmował, a cały czas, wszystkie siły i sprawność swoją aby obra-

cał na walkę z Rosją i ani na chwilę nie porzucił konfederacji, póki wroga z kraju nie wypędzi, bo to będzie najlepszy sposób pomszczenia jego niewoli, a może i śmierci. Zalecał dalej starosta synom, aby zawsze z sobą w najlepszej zgodzie i jedności żyli i nigdy się z nikim żadnych waśni nie dopuszczali, bo to największe nieszczęście dla narodu, gdy miasto w zgodzie i miłości dążyć do jednego celu, każdy tylko na swoją rękę chciałby coś robić i jak najwięcej siebie wywyżżyć.

Rzewnemi łzami zalał się pan Kazimierz, gdy wspólnie z braćmi odczytał to ojcowskie pisanie, w którym się cała poczciwa dusza tego zacnego człowieka malowała.

Stosując się do rozkazu ojca, poniechał Kazimierz zamiaru przedarcia się do Turcji, a zebrawszy po drodze parę małych oddziałów konfederackich (które Moskale umyślnie rozganiali, aby osłabić siły wojska polskiego), pomaszzerował tak prędko a sprawnie, że się dziwowali sami Moskale, zwłaszcza że zabrał im kilka kas z pieniędzmi i magazynów z bronią i w dziesięciu dniach stanął nad rzeką Dniestrem, prawie naprzeciw tureckiej fortecy Chocima.

Na polskiej jeszcze stronie Dniestru leży miasteczko Żwaniec, a nad niem sterczy góra skalista i wysoka, z dwóch stron oblana głęboką rzeką. Tędy to w każdej prawie wojnie, czyto z Wołoszczyzną, czyto z Turcją, przechodziły wojska polskie, bo tu był bród w wartkiej i głębokiej rzece, a król Jan III Sobieski, co to ciągle i tak szczęśliwie z Turkami wojował i ich gnębił, kazał na tej stromej górze postawić mocną murowaną fortecę, okopaną głębokim rowem, aby na wypadek, gdyby go Turcy pobili i tu aż za nim się zapędzili, miał miejsce bezpieczne, gdzieby się mógł zamknąć i obronić. Śmiały ten i pobożny król nazwał ową fortecę Okopami św. Trójcy, bo polecił ją opiece Boga Ojca, Syna i Ducha św.

W tych to Okopach — choć bardzo już zniszczonych i porozwalanych — osiadł pan Kazimierz z garścią swego wojska, bo stąd daleko mógł okiem całą okolicę wzdłuż i wszerz przejrzeć i tu na niedostępnej skale mógł się długo opierać nieprzyjacielowi. Większy oddział wojska konfederackiego, pod wodzą dwóch swoich braci Franciszka i Antoniego, osadził w Żwańcu, a trzecią część konfederatów pod naczelnictwem dzielnego, ale — jak się później pokazało — niepocziwego Bierzynskiego, zostawił we wsiach okolicznych, żeby zawiadamiali o pojawieniu się Moskali w okolicy, a także starali się dostarczać żywności dla całego wojska.

Pomimo, że była zima, i to ciężka, śnieżysta, zabrali się zaraz konfederaci do naprawy murów, sypania wałów, a wielu, co nie miało cieplejszego ubrania, pomarzło przy tej robocie. Niedługo dali czekać na siebie Moskale i nadciągnęli z ogromnem wojskiem, przeszło 15.000 ludzi liczącem, i mnóstwem doskonałych armat. Smutno się zrobiło na sercu młodemu marszałkowi, gdy patrząc na tę chmarę żołnierzy roślących, doskonale żywionych, dobrze i ciepło ubranych, porównał ich ze swoją garścią ludzi, wynędzniałych w ciągłym trudzie i boju. Najgorzej zaś zmartwiło go, że gdy Moskale ustawili się pomiędzy Żwańcem a Okopami, to przerwali mu komunikację z drugą częścią wojska, a bał się, że bracia jego, tak młodzi i niedoświadczeni, nie dadzą sobie rady. Biedził się też nad tem i naradzał z przyjaciółmi, co słyszał mały Cyganiuk, imieniem Saga. Sprytny to był, przebiegły wyrostek, o czarnych jak smoła i mądrych oczach, a do pana Kazimierza jak pies przywiązany od czasu, gdy tenże go z rąk moskiewskich wyratował. Złapali oni mianowicie pewnego razu Sagę, gdy z ważnym jakimś listem do jednej partji konfederatów cwałował na swoim małym cygańskim koniku Wijunie; koń ten, napozór nędzny i chuderlawy, jak jego pan, taki był szybki w nogach a wytrzymały na

zmęczenie, że najlepsze pańskie rumaki równać się z nim nie mogły. Otóż na tym to koniu, który jeszcze miał to szczególnego, że mało jadał siana i owsa, a tylko chleb i wódkę pił chciwie jak człowiek, pędził raz Saga i byłby uszedł Moskałom, gdyby nie to, że mu Wijuna postrzelili. Przytomny Cyganiuk, widząc, że go złapią, nie chciał choć oddać w ręce nieprzyjaciół listu, jaki mu powierzono, więc skręcił go w gałkę i połknął, mimo, że na grubym był pisany papierze. Rozzłoszczeni Moskale, że ich Cygan na kpów wykierował i nie się od niego nie dowiedzą, rzucili się na niego, a jeden zawołał, żeby za karę rozpruć mu brzuch szablą i list stamtąd wyjąć. Właśnie okrutnicy chcieli już się zabrać do tej strasznej roboty, gdy na zajętych i rozżartych gniewem wpadł ztyłu niespodzianie pan Kazimierz Pułaski, który — jak zawsze — ze swoim małym oddziałem tropił tylko Moskali i, gdzie mógł, im dokuczał. I zanim zdążyli się obejrzeć, wyrwał im z rąk rozebranego już do naga Cygana, połowę z nich postrzelał, kilkunastu kazał powiązać i powrócił napowrót do swoich.

Od tego czasu, wdzięczny za uratowanie życia Saga, jak pies się przywiązał do swego wybawcy i nigdy ani na krok go nie opuścił, a nieraz oddał mu ważną przysługę. Tak też i teraz, słysząc, jak się martwił marszałek, że się z braćmi widzieć nie może, skłonił mu się do nóg, odprowadził na bok i począł coś długo rozpowiadać. Marszałek słuchał, a twarz mu się rozjaśniła jak słońce, wreszcie pochylił się i w głowę pocałował uradowanego Cyganiuka.

Na drugi dzień znikł pan Kazimierz nagle z obozu w Okopach, a gdy zaniepokojeni jego towarzysze rozglądali się dookoła, czy czasem nie udało się Moskałom pochwyć tak szacownego jeńca, zobaczyli z największym zdziwieniem swojego marszałka, jak stał w Żwańcu i rozmawiał z obu braćmi tudzież z innymi panami z tam-

tego obozu. Odtąd często się już zdarzało, że młody Pułaski pokazywał się nagle, niby jaki duch zaklęty, to w dolnym obozie żwaniackim, to znów w fortecy na górze, a nikt nie mógł dociec, jakim to się działo sposobem. Choć się jednak wszyscy dziwili, nikt go wprost zapytać nie śmiał, bo marszałek, acz wiekiem młodziutki, dobry i przyjacielski, nikogo jednak do zbytnej poufałości nie przypuszczał i jak hetman prawdziwy głowę nosił wysoko a hardo.

Zauważyli też i Moskale naturalnie to cudowne prawie pokazywanie się Pułaskiego w różnych miejscach i jeszcze więcej młodego wodza poczęli się obawiać, mając go za czarownika, tem bardziej, że dużo im wyrządzał szkody, ciągle nasyłając na nich wycieczki, tłukąc i zabijając wtedy, kiedy najmniej go spodziewali.

Rzecz się zaś tak miała. Saga, wiecznie kręcący się, niespokojny a ciekawy, włóczył się po skałach tak stromych, że kot ledwo byłby się na nich pazurami uczepił. Wtem błysły mu gdzieś wilcze oczy — nużę więc za nimi w pogoń, bo już taką miał naturę, że niczego się nie uląkł i niczemu nie przepuścił. Wilk, znacząc za sobą ślady po śniegu, dopadł do jakiejś nory pod samem murem Okopów; Saga za nim, mimo, iż otwór był ciasny, i tam się zmierzył oko w oko ze świecącemi ślepiami zwierza. Choć nie miał przy sobie nawet noża, chwycił wilka za kark tak prędko, że ten się ani spodział, uderzył łbem o kamień i odrzucił ledwie jeszcze dyszące cielsko daleko precz od siebie. Dojrzał teraz, że ta wilcza nora zamieniała się w długi, ciemny korytarz. Niebardzo było bezpiecznem zapuszczać się samemu bez broni w taką przepaść, ale Saga nie znał, co to strach. Macając, ostrożnie szedł i szedł prosto przed siebie, sam zaś nie wiedział, jak długo, czuł tylko, że wdół schodzi. Nagle poczuł pod ręką jakieś wielkie drzwi żelazne: próbuje — zamknięte — ale gdy dobrze podważył, puściły zepsute i stare zamki i Cygan zna-

lazł się naraz na jakimś obszernym podwórku. Rozgląda się — coś niby zamek żwaniwski, patrzy — oto i pan Franciszek Pułaski kroczy od przeciwnej strony. Saga mu do nóg i opowiada, jakim dziwnym sposobem udało mu się odnaleźć ten cudowny korytarz. Podziękował zaraz pan Franciszek Bogu, że taką opieką otacza konfederatów, bo widział w tem zdarzeniu prawdziwy palec Opatrzności i odprawił Cygana zpowrotem do brata, by mu opowiedział o tem zdarzeniu, zalecając jednak sekret przed wszystkimi.

Parę miesięcy oblegali Moskale oba obozy konfederackie, ciągle trapieni napadami to z góry to z dołu, to znowu na tyłach przez oddział Bierzyńskiego. Konfederaci spodziewali się ciągle, że im pomoc nadejdzie albo od Turków ze strony Chocima, albo od swoich z kraju, gdzie wiadano przecież, że ci, co się tam w Okopach zamknęli i tak śmiało potykają z wrogiem, muszą wkońcu zginąć. Konfederatów wszystkich razem w Żwańcu i w Okopach było ledwie do dwóch tysięcy, Moskale zaś stanęło murem piętnaście tysięcy, a w dodatku mieli sporo armat.

Turcy niewierni a zdradliwi nie śpieszyli z obiecaną pomocą, bo ciągle się bali na gniew Rosji narazić, z którą wojny unikali. Nasza starszyzna, choć pośród niej nie brakło ludzi odważnych a pocziwych, nie ufała Pułaskim, kłóciła się ze sobą, tracąc czas nadaremnie, zamiast się zebrać w porządną a wielką kupę, zająć tyły Moskalom, dopomóc żwaniwskim konfederatom do pobicia wroga i uratować tę garść najdzielniejszej polskiej młodzieży, która tam nad Dniestrem była narażoną na niechybną śmierć lub niewolę.

Moskalom nadciągnęły tymczasem jeszcze nowe posiłki; dwanaście tysięcy świeżego, wypoczętego wojska przyłączyło się do tych, co już stali pod Okopami, a zdaleka nadciągał jeszcze rosyjski książę Galicyń na czele 24 tysięcy ludzi.

Obawiali się Moskale wojska konfederackiego, bo miarkowali, że walka z niem — to nie przelewki; ubezpieczali się więc i dopiero wtedy przystąpili do szturm, kiedy na każdego Polaka najmniej ośmiu wypadło Moskali.

Teraz zaczął się bój straszny. Konfederaci już dzień wprzód, widząc tyle wojska i takie przygotowania, spowiadali się wszyscy i przystępowali do komunji św., bo rozumieli, że śmierć ich czeka niechybna, a wszyscy przysięgli, że się żywcem pojmać nie dadzą i póki siły w rękę a krwi w żyłach — nie pozwolą nieprzyjacielowi wyrwać sobie tego kawałka ojczyściej ziemi,

Od świtu słychać było huk armat, krzyki i jęki. Przed taką siłą, jaką mieli Moskale — mały, źle opatrzone zameczek żwaniacki musiał ustąpić. Z jakimże smutkiem i desperacją patrzyli konfederaci z góry z Okopów, gdy trochę dym armatni wiatr rozproszył, jak całe miasteczko niby pęk smolnego łuczywa gorzało, a nasi, już rozbici, bili się jeszcze rozpaczliwie małemi kupkami.

Nie było jednak czasu przyglądać się, bo już całe oddziały moskiewskich dońców darły się na skały, strzelając i starając się pożar wzniecić. Odparto ich raz jeden, drugi i dziesiąty; ale niestety! zastępy coraz to nowe zdawały się z pod ziemi wyrastać.

Zdawało się, że nawet Pułaski, który nigdy nie upadał na duchu i nie tracił odwagi, nie wiedział już, co począć. Ale trwało to tylko chwilę, poczem zawołał:

— Na koń, bracia, podpalić wszystkie budynki, niech przynajmniej Moskale nic po nas nie znajdą, zebrać się w jedną gromadę i za mną!

Spełnili rozkaz konfederaci, nawykli do posłuszeństwa względem swego młodego wodza i wyszli z okopów na małą równinę, która wisiała nad przepaścią niby gniazdo orle. Z ośmiuset dorodnych młodzianów, co w te mury wchodzili, zostało ledwo dwustu wychu-

dzonych, szerniałych z głodu, mrozu i dymu — bardziej do duchów niż do ludzi podobnych. Rozejrzeli się dookoła, a straszny przedstawił im się widok.

Wczesna noc zimowa już zapadła, a na tle jej ciemności, jak gorejąca pochodnia, świecił dopalający się Żwaniec; naprzeciw Okopy, całe w płomieniach, stały słup ognia w niebiosa, czarne zaś postacie moskiewskich dońców snuły się już wśród murów i żaru.

To było z jednej strony, a z drugiej — ztyłu i z boków, noc ciemna, głucha i mroźna, jakaś śmiertelna; wszędzie skały, urwiska i przepaście, u stóp zaś Dniestr i Zbrucz, hucząc i szalejąc, toczyły we wściekłym pędzie kry ogromne lodu, które z trzaskiem, hukiem, rozbijały się o skał załomy. Żadnej drogi, żadnego wyjścia, żadnego poratowania!

Wtem odezwał się marszałek:

— Bracia kochani! jesteście w strasznym położeniu! — przed nami nieprzyjaciel, przez którego szeregi przebić się nie damy rady, z trzech stron przepaście, którądy jeszcze nigdy ludzka nie przedarła się noga, — cóż więc mamy robić? Czekać na śmierć albo gorszą jeszcze niewolę? Chcę zatem jeszcze jednej spróbować drogi; niepewna ona, niebezpieczna, będziecież-li więc mieli odwagę jej doświadczyć?

— Wszędzie za tobą pójdziem, wodzu nasz! — zawołali wszyscy, a Pułaski mówił dalej:

— Saga, Cygan, co go znacie, wskazał mi ścieżynkę, prowadzącą wprost do Dniestru, ale tak dalece wąską, przepaścistą, że cud będzie oczywisty, jeśli na niej się utrzymać potrafimy. Ja próbować jednak chcę; kto zaś za mną, ten niech konia mocno trzyma — za uźdę przy pysku, niech poleci się opiece Boskiej i niech baczenie a ostrożnie schodzi. Komu noga się powinie, naturalnie że poleci w przepaść; niech zaś nawet i nie woła o ratunek — bo daremnie, inaczej wszyscybyśmy za nim ginąć też musieli! — Poczem poszedł naprzód mężny ry-

cerz — wszyscy zaś za nim, trzymając w rękę drżące z obawy konie. Od czasu do czasu tylko jakiś krzyk rozdarł ciszę nocy ciemnej — to któryś jeździec runął w przepaść razem z koniem.

Odwaga wyszła przecież na dobre, jak zazwyczaj, dzielnym naszym śmiałkom, bo z małemi wyjątkami wszyscy prawie odbyli szczęśliwie tę karkołomną drogę i kilku tylko brakowało, gdy nareszcie znaleźli się na zmarzniętym śniegu nad brzegiem szalejącej rzeki i kłęzcząc dziękowali w kornej modlitwie Panu w niebiesiech, za to cudowne uratowanie.

A Moskale — któż zdoła opisać wściekłość ich i podziw, kiedy idąc na pewniaka dla pochwycenia pozostałych konfederatów — nie zastali nikogo. Starszyczna ich już naprzód się cieszyła, jak to będą chłostać i męczyć naszych, a zwłaszcza tego niecnotę Pułaskiego, co ich tylu natłukł, naprześladował. A tu wszyscy wymknęli się z pułapki i raz jeszcze wywiedli carskich oprawców w pole. Książę Galicyjn kazał tłuc nie tylko żołnierzy, ale i oficerów pałkami lub nahajkami, ale mu to nie naturalnie nie pomogło, tyle że złości jeneralskiej trochę ulżyło. Nasi tymczasem przechodzili z największym wysileniem poprzez kry lodowe na Dniestrze. Łód pękał z hukiem i lada chwila rzeka połknąć mogła jeźdźców nieustraszonych, ale Matka Najświętsza pozwoliła im przebyć szczęśliwie i to niebezpieczeństwo, poczem, przeprawiwszy się przez Dniestr, dostali się na Bukowinę, gdzie ich chłopci gościnnie przyjęli, osuszyli, ogrzali i nakarmili. Odpocząwszy tam dzień jeden, ruszyli zawsze pod dowództwem swego młodego, ukochanego naczelnika ku miastu Samborowi, gdzie się spotkali ze znaczniejszemi siłami konfederackimi i odnaleźli pana Franciszka Pułaskiego, o którym sądzono, że został w Żwańcu zabity.

VII.

Wieść o cudownem ocaleniu z gorejących Okopów małej garstki konfederatów z Pułaskim na czele doszła już do Sambora, zanim tam przybyli, to też witano młodego marszałka z takimi honorami, jakby był co najmniej księciem udziałnym. Więcej ci on był niż księżę najprzedniejszy, bo obrońca ojczyzny; czynny, śmiały, dzielny, za nic ważący swoje życie. Wroga gnębił ciągle, tak, iż przynajmniej musiał tenże drogo krwią i ludźmi przypłacić, zanim nas zgniótł w swej łapie potężnej.

Nie dziw więc, iż z samborskiego kościoła wyszli wszyscy księża w paradnych ornatach, z chorągwiami i procesją, by powitać młodego bohatera; a co było tylko w mieście i okolicy panów, ludu wiejskiego, lub mieszczan, wszystko, co żyło, chciało popatrzeć na Pułaskiego, o którego czynach i waleczności cudowne prawie opowiadano sobie historje. Nie ominął go jednak w owym Samborze i ciężki smutek, a mianowicie dowiedział się tutaj, że nieszczęśliwy jego ojciec zakończył życie. Umarł biedny stary pan Pułaski na obcej ziemi, wśród niewiernych pohańców, zdala od wszystkich swoich, nie doczekawszy tej pociechy, aby konfederacja barska, którą on pierwszy zebrał i poprzysiągł, skończyła się szczęśliwie dla Polski.

Nie było jednak czasu na żale i smutki; w Warszawie coraz gorzej się działo, bo króla Moskale całkiem za nie już teraz mieli, rozrządzali się przeto w stolicy, jakby nasza Polska już do nich należała, a rozżłoszczeni na konfederatów, że im tyle szkody robią i nie dadzą się tak prędko wyłapać, jak to sobie Repnin układał, snuli się po całym kraju, zajmując każde miasto po drodze, paląc i łupiąc na wsze strony. Musiał więc młody Pułaski znów zabrać się do wojaczki, a sku-

piwszy koło siebie nową gromadkę konfederatów, następował Moskvicinom jak dawniej na karki. Dziwny to był człowiek, nigdy nie zmęczony i zawsze rycerskiej fantazji, a odważnego ducha. Trudno nawet opisać i opowiedzieć, ile on stoczył bitew, gdzie nie był; umiał zaś, co najważniejsza, tak prędko z wojskiem maszerować, że zawsze tam się znalazł, gdzie go nieprzyjaciel ledwie za kilka dni się spodziewał.

Ciężkie jednak przechodził koleje. Był w Wilnie i Brześciu, miastach w tej części Polski, którą Litwą nazywają. Tam można było bardzo dobrze walkę poprowadzić, bo Moskale nie byli przygotowani, a do oddziału pana Kazimierza garnęło się mnóstwo młodzieży, co się do konfederacji zapisać chciała; ale jak zaczęli kniaziewie litewscy, a więc najwięksi panowie, marudzić, namyślać się, swarzyć, na Pułaskiego krzywem okiem patrzeć, bo ich jadła zazdrość, że wojsko nikogo tak nie słuchało i nie kochało jak swego młodego marszałka, tak tylko czas mijał, nieprzyjaciel zaś tymczasem gromadził się, zaopatrywał w żywność, miasta poobsadzał, a Pułaski, widząc, że nie ma tu co robić, zabrał się ze swoim wiernym oddziałem i powrócił w Krakowskie. Tutaj ukryli się konfederaci przez czas jakiś w górach, czekając, aż ich się więcej nazbiera, z rozproszonych po całym kraju oddziałów. Niemalą pomocą Pułaskiemu byli poczciwi górale, którzy doskonale zrozumieli, że konfederacja chce tylko dobra dla Polski, o ile więc oburzali się na gwałty i niegodziwości moskiewskie, o tyle swoim starali się ze szczerego serca pomagać. Znając doskonale góry i wąwozy, wodzili zawsze wojsko polskie takimi ścieżynkami, które je prosto na karki Moskali prowadziły właśnie wtedy, kiedy ci myśleli, że konfederaci Bóg wie jak są daleko. Natłukły ich też oddziały młodego marszałka niemało, co okropnie złościło moskiewskiego jenerała Drewicza. Przysłała go niedawno dopiero carowa do Polski, że zaś

był zarozumiały, naśmiewał się przeto z innych jenerałów, iż tak długo z tą „zabawką dziecinną“, jak nazywał konfederację, nie mogą sobie dać rady, a on tylko ich w garści ściśnie i zdusi. Pokazało się tymczasem, że tej zabawki nie mógł ani rusz w garść pochwycić i że mu ona nieraz gorącego sadła załała za skórę; przysiągł więc sobie niegodziwiec, że jak tego „Pułaskę“ — tak nazywał marszałka — pochwyci, to z żywego pasy drzeć będzie.

Koło Pułaskiego zebrało się atoli wkrótce blisko półtora tysiąca ludzi, a wśród nich było niemało i dorodnych góralskich chłopców, zwinnych jak sarny i jak orły śmiałych; ci ze swemi *ciupagami* i nożami przydali się nieraz konfederatom doskonale, a Moskalom niemało krwi utoczyli. Marszałek postanowił wyprowadzić Drewicza w pole. Porozysłał tedy umyślnie sprytnych góralczyków w okolicę i aż do samego Krakowa, każąc im rozpuszczać wieści, że Pułaski z konfederatami idzie prosto na Warszawę. Drewicz, okrutnie kontent, że ich przyłapie na szerokim trakcie, gdzie mu się już w lasy ani góry schować nie będą mogli, dalejże rusza naprzód, by potem niespodzianie się zwrócić i przeciąć Polakom drogę. Tymczasem Pułaski już od Olkusza skrzył raptem na południe i jak wichur pomaszerował naprzelaj przez pola, łąki i ugory, zabierając po drodze wszystkie moskiewskie magazyny. Czwartego dnia o świcie stanął pod murami Krakowa, gdzie, niczego złego się nie spodziewając, spali sobie nawet sztyldwachy. Zanim się wojsko i starszyzna rozbudziła, nim się pomiarkowali, kto napadł i z której strony, już całe miasto było opanowane, a Moskaliska powiązani niby barany; sześćdziesięciu tylko zdołało uciec bramą koło Wisły, a ci rzekę przebyli wplaw i popędzili dać znać Drewiczowi — że go *Pułaska* tak wy kierował.

W Krakowie stał pułk wojska polskiego królewskiego, który dotychczas nie śmiał króla niedołęznego

porzucić, a przejść do konfederatów. Ale kiedy tu zbliżka zobaczyli wojacy królewscy tych zuchów i posłyszeli o ich czynach walecznych, poświęceniu, odwadze; kiedy porównali tego wymokłego delikacika w peruce, co choć królem się nazywał, niczem był dla narodu, z tym dzielnym, marsowym wodzem, który pierwszy był zawsze w szeregach, żadnej dla siebie nie chciał ulgi ni wygody, podczas bitwy w najgorszy bój się rzucał — to pomyśleli sobie, że niema co się namyślać i że jeżeli Pan Bóg pokarał kraj takim złym królem i rządem, to naród sam sobie radzić musi i iść nie na swoją hańbę z Moskalami, ale przeciw nim.

Ucieszył się tym wypadkiem serdecznie pan Pułaski, bo mu przybywało kilkaset dobrego żołnierza, dobrze odzianego, wypoczętego, a czuł — że teraz z rozwścieczonym Drzewiczem będą nie przelewki. Należała się też słusznie młodemu marszałkowi jakaś pociecha, bo dużo on przecierpiał w ostatnim roku od czasu cudownego ocalenia się z Okopów św. Trójcy nad Dniestrem. Nietylko, że ojciec mu umarł, że na Litwie sporo się najadł goryczy i boleści, patrząc na swary i kłótnie rodaków, którzy zamiast mu pomagać tak go samego zostawili, że kiedyś napadnięty przez Moskale ledwie z dziesięcioma towarzyszami życie uratował — ale w dodatku zabrali mu Moskale w tym czasie najmłodszego brata, Antoniego, do niewoli i aż gdzieś het! w głąb Rosji zesłali, a drugiego, Franciszka, zamordowali i nawet ciała dzielnego młodzieńca oddać nie chcieli, tylko suknie jego, jakby na urągowisko, posłali do bliskiego miasteczka, żydom na sprzedaż. Tak więc z pięciu Pułaskich, co przed czterema laty przysięgali w Barze poświęcić się dla wiary św. i ojczyzny, został już tylko jeden — Kazimierz, bo i stryjeczny ich, Dominik, zginął w jednej bitwie. Ale póki żył Kazimierz, jeszcze Polacy nadziei nie tracili, że się wyrwą z moskiew-

skich pazurów i krajowi dawną wolność a szczęście powrócą.

W Krakowie nie bawił długo marszałek, bo rozumiał dobrze, że go tu Moskale w spokojności nie zostawiają, lecz lada chwila nadciągną z wielkiem wojskiem, a on nie miał dość ludzi, by im podołać. Zabrał więc magazyny, jakie sobie Moskale w Krakowie przygotowali z bronią, prochem, ubraniem, butami i t. p., dalej mnóstwo owsa dla koni, a także żywności dla ludzi, naładował tem wszystkim fury i ruszył prosto ku Częstochowie. Moskalom, którzy właśnie stali także pod Częstochową, napędził Kazimierz Pułaski takiego już strachu, że zmusili tylko klasztor, żeby im 3.000 dukatów w złocie zapłacił, spalili ze złości przedmieścia i, jak tylko zasłyszeli, że wojsko konfederackie nadciąga, poszli sobie w inną stronę, nie śmiejąc go zaczepiać, póki im nowe nie przybędą posiłki. Wielką zaś mieli oni chrapkę na to święte miejsce, bo — jak wszystkim wiadomo — w skarbcu jasnogórskim w Częstochowie przechowują się jeszcze i dotychczas niemałe bogactwa w złocie, klejnotach, drogich kamieniach i najrozmaitszych kosztownościach, które od wieków składali tu królowie, hetmani, panowie i wszyscy ci, co jakimś darem chcieli uprosić cudowną Matkę Boską Częstochowską o łaskę dla siebie, lub też za coś tej najmiłosiernej Opiekunce podziękować. Za nic sobie naturalnie wazyli bezbożniki Moskwiciny świętość cudownego miejsca i oddawna układali, że je ze wszystkich bogactw obrabują. Tem bardziej też chciał pan Pułaski, dobry katolik i żarliwy wyznawca Matki Najświętszej, zająć Częstochowę, by ją od rabunku i zbezczeszczenia uchronić.

VIII.

Słońce miało się właśnie ku zachodowi, kiedy wychodzące z lasu wojsko konfederackie ujrzało przed sobą na wysokiej górze starożytny klasztor częstochowski, którego szczyty ozłoczone słońcem strzelały w niebo wysoko. Z wieży klasztornej płynęły poważne, uroczyste tony: to muzyka, ustawiona tak wysoko, grała podług zwyczaju pobożną pieśń wieczorną. Wszyscy konfederaci, ilu ich było, zeskoczyli z koni i kornie klękając, modlić się poczeli serdecznie do Królowej Korony Polskiej, która przez tyle lat otaczała nas świętą Swoją opieką. Mężczyźni to byli i rycerze, stwardniali, zahartowani w boju, a jednak niejednemu rozrywał piersi płacz serdeczny, niejeden uderzył w jęki i szlochanie, bo mu się zdawało, że się do matki rodzonej tuli, co mu ukoi wszystkie bóle, smutki, i że już teraz spokój, bezpieczeństwo, błogosławieństwo spłyną na wszystkich, co w pobliżu tej Pani na ziemi i w niebie.

Pierwszy podniósł się marszałek; czoło głęboką miał pokryte zadumą, a patrząc na jasnogórskie wieżycy, przysięgał sobie, że ich wrogowi zagarnąć nie dozwoli, ale zarazem rozmyślał, czy dużo będzie trzeba znów krwi i potu ludzkiego ofiarować, by Moskali pobiec i wypędzić, czy też Częstochowa i tym razem obroni Polskę całą, jak ongiś za wojny szwedzkiej, kiedy to kule nieprzyjacielskie odbijały się od murów i znów w nieprzyjaciół godziły. Ale wtedy było inaczej, wtedy cały naród porwał się do broni i chciał jednego, cały naród stał przy królu, a król — Jan Kazimierz stał z narodem. Zaczął więc marszałek dumać głęboko, czyby też nie było sposobu, żeby i teraźniejszego króla Stanisława Augusta, co tak obojętnie patrzył, jak część narodu kąpie się we krwi, by ojczyznę ratować — żeby go zmusić, namówić — by stanął sam na czele konfe-

deracji, a wtedy lud cały powstałby jak jeden człowiek i wolną, wielką, a szczęśliwą stałby się mogła znów Polska cała.

Ze zamiarów tych i chęci Pułaskiego powstała potem rzecz bardzo zła i nieszczęśliwa, choć Bóg świadkiem, że on zawsze chciał tylko najlepszego. Tymczasem jednak podeszli konfederaci pod bramę jasnogórskiego klasztoru; jakież było atoli ich zdziwienie, gdy przeor nie chciał ich wpuścić i wszystkie furty kazał pozamykać. Tchórzliwego to był serca człowiek, nie tak jak sławnej pamięci ksiądz przeor Kordecki, który za szwedzkich wojen sam stał na wartach, sam wszystkim przewodził, nie bał się na kule armatnie własnej piersi nadstawiać i wszystkiego poświęcić dla ratowania miłej ojczyzny. — Marszałek koniecznie chciał zająć i obsadzić wojskiem klasztor częstochowski, raz dlatego, że był on jak forteca na wysokiem wzgórzu położony i mocnemi obwiedziony murami, więc dobrze się w nim bronić było można, po wtóre zaś — i co ważniejsza jeszcze — bardzo zależało Pułaskiemu na tem, żeby go nie oddać w ręce heretyków, chciwych na bogactwa, nagromadzone w tem świętem miejscu, dokąd lud z całej Polski pobożne odbywał pielgrzymki, ofiarowując tu pod opiekę Matki Boskiej cudownej wszystkie swoje kłopoty i utrapienia. Kościół jasnogórski w Częstochowie z cudownym obrazem Matki Najświętszej sławny był i jest nie tylko na Polskę całą, jak długa i szeroka, albowiem i z Czech, czy z Morawy tu się ludzie schodzili na odpusty gromadami, dopóki później Rosja nie odgrodziła granicami i paszportami tej części naszego kraju od innych. Lecz wróćmy do Pułaskiego, który widząc, iż przeor się boi i do klasztoru wzbrania się go puścić, począł przeora z mańki zachodzić i częścią prośbą a częścią chytrą doprowadził powoli do tego, iż konfederaci dostali się nareszcie do środka, poczem zaraz zaczęto naturalnie poprawiać wały i mury, sprowadzać

z bliskich wsi żywność dla ludzi i koni, a z dworów małe armatki, które wtedy każdy prawie szlachcic miał u siebie dla obrony w razie napadu.

Niedługo czekała Częstochowa na nieprzyjaciela, bo już po paru dniach nadeignął jeden moskiewski dowódca w kilka tysięcy wojska i wezwał konfederatów, żeby się poddali. Marszałek wyśmiał tylko Moskala. Zebrał zaraz w nocy garść co najśmielszych towarzyszy i zrobiwszy z nimi wycieczkę do moskiewskiego obozu, taką dał im nauczkę, że Łopuchin ze wstydem i czem prędzej musiał nogi zbierać i uciekać ku Warszawie.

Odtąd różnie się działo konfederatom, ale w Częstochowie, pod opieką Matki Najświętszej, utrzymali się prawie dwa lata i niemało wrogów usiekli. A kiedy tak marszałek Pułaski bronił Częstochowy i w tej stronie kropił Moskali, w innych stronach naszego kraju zbierały się także mniejsze oddziały konfederatów, bijąc się to tu to owdzie z nieprzyjacielem, co niby szarańcza obsiadł całą Polskę i nie dawał się wypłoszyć. Oprócz Pułaskiego było jeszcze wielu innych dzielnych a śmiałych dowódców, których konfederaci za naczelników sobie obierali, a choć żaden z nich tak długo przy tej świętej sprawie walki o oswobodzenie Polski nie wytrwał i w cnocie ani męstwie z panem Pułaskim nie mógł się równać, niemało się jednak zasłużyli ojczyźnie i warto się coś o nich dowiedzieć.

Najsławniejszym ze wszystkich, postrachem dla wrogów — był pan Sawa. Dziwne koleje człowiek ten przechodził już od maleńkości. Ojca jego zbóje zamordowali, a jego samego niańka tylko w taki sposób uratowała, że go w dzieży chlebowej ukryła. Pochodził on z kozackiego rodu, był bowiem synem nadwornego kozaka pana Potockiego, ale jak to nieraz z jednego drzewa bywa i krzyż i motyka, tak też i tu, choć tego samego pochodzenia, co ci sławni okrutnicy, Gonta i Żeleźniak, wcale był do nich niepodobny. Okrutną miał zwłaszcza

do nauki ochotę, a że przytem chłopiec był dziwnie składny, grzeczny a posłuszny, więc też pan pozwolił uczyć go dworskiemu bakałarzowi, tak, że młody Sawa nawet na łacińskich czytał książkach. Do konia zaś, do szabli i każdego gatunku broni, to już nie miał sobie równego; skoro zatem tylko dorósł, zaciągnął się do wojska pruskiego. Było to we zwyczaju naówczas służyć po obcych pułkach, a sam król pruski Fryderyk Wielki tak polubił dzielnego i sprawnego Sawę, że go wprędce zrobił pułkownikiem. Ale Sawa gorąco kraj swój miłował. Cniło mu się między Niemcami, to też gdy zasłyszał, że się w Barze zawiązała konfederacja i jak najwięcej potrzeba ludzi do obrony przeciw wrogom, podziękował pruskiemu królowi za wszystkie honory, powrócił do Polski, wpisał się do konfederacji i od tej pory zasłynął z odwagi i szczęśliwego wojowania z Moskałami. Strach, co on ich niby plewy jakiejś namłócił; jeden pułkownik rosyjski aż podobno umarł ze zgryzoty, że nigdy Sawy pokonać nie mógł. Kule tak go się nie imaly, że bajka o nim urosła, iż był czarownikiem. Żołnierze kochali Sawę jak ojca rodzzonego i byliby w ogień a w wodę za nim poszli, dla jego poczciwości, rozwagi i męstwa, cała zaś starszyzna polska tak go ceniła, że choć z prostych kmieci pochodził, obwołano go marszałkiem jednego oddziału konfederackiego i na najbliższym sejmie miano go zrobić szlachcicem.

Długo też szczęśliwie wojował Sawa, ale nareszcie i na niego przyszła kreska. W bitwie jednej pod Szeńskiem dostał kulą w udo tak nieszczęśliwie, że i część brzucha kula mu rozdarła. Choć krew ciurkiem z niego się lała, nie zszedł z pola i ciągle wydawał rozkazy, ale wprędce tak osłabł, że się już i na koniu nie mógł ujrzywać, więc kazał się włożyć w kosz i między dwa konie zawiesić. Za każdym razem, co się konie szarpnęły, cierpiał w ranie boleści straszliwe, ale nie chciał

swego oddziału porzucić, póki się bitwa nie skończy, wreszcie zaś, gdy omdlał, zanieśli go wierni towarzysze w las do chaty jednego poczciwego leśnika. Moskale, uradowani, że go zranili, zaczęli na wszystkie strony myszkować, aby też przychwycić tego sławnego wojownika, na którego od tak dawna mieli chrapkę. Długo nic odkryć nie mogli, aż nakoniec żyd cyrulik, co przychodził z miasteczka opatrywać rany pana Sawy, zdradził jego kryjówkę na leśniczówce. Wpadli tu Moskale, cały dom otoczyli, samego marszałka jeszcze raz postrzelili i zabrali w niewolę, wiodąc z okrutną uciechą do swego obozu. Krótka była atoli ich radość; Pan Bóg wolał powołać zanego rycerza do Swojej chwały, a nie dozwolił się nad nim pastwić Moskwicinom. Jakoż śmierć zabrała w kilka dni później tego wielkiego rycerza, który z prostego kozaka wyniósł się na dowódcę najznakomitszych szlachciców i panów, co nie mieli sobie wcale za wstyd i poniżenie być pod jego rozkazami.

Dużo też mówiono podczas konfederacji o innym jeszcze dowódcy, niejakim panu Zarembie, który miał pod sobą liczny, do czterech tysięcy dochodzący oddział. Szlachcic to był bardzo dzielny i odważny, rąbał Moskali doskonale, zwłaszcza wojska jenerała Drewicza kilka razy w puch rozbił, ale robił on to nietyle z prawdziwego przywiązania do nieszczęśliwej ojczyzny, ile dla własnej dumy i odznaczenia się. Panicz był, delikacik, i wkrótce dokuczyła mu ta długa wojaczka, w której nieraz wszelakiej niewygody, głodu i chłodu użyć przyszło, choć on umiał dbać i pamiętać o sobie, nie tak jak Pułaski, co wszystkie biedy i trudy dzielił narówni z żołnierzami. To też jak spostrzegł, że Moskale okrutnie się na Polskę zawzięli, moc wojska swojego przysyłają i niełatwo przyjdzie im dalszy opór stawiać, zafrasował się o własną skórę; zmiarkowała to moskiewska starszyzna i dalejże go namawiać, żeby ze swoją kompanją pojechał do króla, przeprosił go, przyrzekł, że konfede-

rację całkiem porzuci, a już Repnin się o to postara, żeby mu wszystko było zapomniane i jeszcze urzędy a honory go nie ominęły. Zrobił tak Zaremba, a kiedy wjeżdżał do Warszawy, leciała za nim cała gromada ludu, rzemieślników, mieszczan, urągając i przeklinając, że kraj zdradza, że jest odmieńcem bez czci i sumienia.

Niedługo też i Pan Bóg ukarał go za to odszczerpięstwo i to w straszny sposób, dając wszystkim przykład, jak to zdrada już na tym świecie bywa często-kroć pomszczoną. Zaremba, myśląc wiecznie o sobie, lubiał się często leczyć, zwłaszcza, że ciągle mu się zdawało, iż jest chory. Aliści razu pewnego ktoś mu poradził, aby użył „suchej wanny“; kazał zatem bednarzowi zrobić wannę podług swego przepisu, z zamykającym się koło głowy wiekiem. Jak tylko wanna była gotowa — jakby go śmierć koczyła — wlaź w nią co prędzej, kazał się w niej zamknąć lokajowi i puszczać przez rurkę gorzałkę do wanny na rozpaloną cegłę, od czego się cały mocno miał spocić. Raptem chłopiec, trzymający świecę, upuścił ją na flaszę z gorzałką, ta się zapaliła, a obaj z lokajem tak stracili głowę, że zamiast pana ratować — poczęli uciekać. Po chwili opamiętali się, ale zanim otworzyli sztucznie zamknięte wieko i pana wydobyli, już nieszczęśliwy Zaremba spalony był prawie na węgiel, tak, że ciało mu kawałkami odpadało i w parę godzin skołał w strasznych mękach.

Nie skończyłbym rychło, gdybym pokusił się opowiadać o wszystkich, co się w tej sławnej konfederacji barskiej odznaczyli; zdarzali się naturalnie i niegodziwcy czy zaprzańcy, boć między ludźmi różnie bywa, ale najwięcej było takich, co jak raz się ofiarowali wojować za miłą ojczyznę, to już niczego, ani trudu, ani majątku dla niej nie pożałowali, a życie chętnie niesli w ofierze dla dobrej sprawy.

Taki naprzykład Szczygieł, szewc z miasteczka Pызdry, czując nieszczęście kraju, porzucił warsztat i kąt spokojny, dobrał sobie kilkunastu takich samych jak on śmiałków i tyle szkody wyrządzał Moskałom, ciągle ich napadając, tłukąc, rabując, że aż wielką cenę nałożono na jego głowę.

Drugi taki sam zuch — to był znów rzeźnik z Gniezna Antoni Morawski. Zasłynął on w całej Polsce podczas konfederacji ze śmiałości i niezwykłej dzielności we walkach z Moskałami, a także i z tego, że się im zawsze szczęśliwie z rąk wymykał. Przebierał się rozmaicie, to za żyda, to za żebraka, a jak się dostał w sam środek obozu, dawał znać pochowanym gdzieś z boku towarzyszom i straszną rzeź między Moskwiczinami urządzał. Byłby może jeszcze dłużej szczęśliwie wojował, gdyby nie to, że nadto lubił gorzałkę i coraz więcej jej sobie pozwalał. To też raz, gdy przebrał miarkę, zaspał tak mocno, że nie dosłyszał, jak karczmę, w której się znajdował, oblegli Moskale i śpiącego tamże zamordowali.

Najwierniejszym druhem młodego Pułaskiego, a zarazem niezwykle śmiałym i obrotnym rycerzem był przede wszystkim pan Szcyc, o którym już poprzednio wspominaliśmy. Węgrzyn on był z rodu, ale już rodzic jego osiadł w Polsce, tu się dorobił majątku i pokochał też ten kraj jakby swój własny. Młody Szcyc, gorliwy katolik, zapisał się zaraz w Barze pod starym panem Pułaskim do konfederacji, a do pana Kazimierza tak przylgnął sercem, że się z nim nigdy nie rozdzielał; razem każdą bitwę czy wycieczkę obmyślali i jeden na drugiego spuszczał się jak na rodzzonego brata. Jakoż i w Częstochowie urządzali obydwaj do spółki przeróżne złośliwe psoty jenerałowi Drewiczowi, który wrócił pod klasztor z dużem wojskiem, zapowiadając na przód Repninowi, że „już teraz z tą hołotą konfederacką da sobie rychło radę“.

Tymczasem nie poszło mu to wcale tak łatwo. Żołnierze moskiewscy bali się i nie śmieli strzelać do murów kościoła, którym się opiekowała cudowna Matka Boska, bo choć schizmatycy, wielki dla Niej mieli respekt i poszanowanie. Pułaski i Szyc z początku tak szczęśliwie jakoś wojowali, że sami mało ludzi tracili, a Moskali natłukli coniemiarą i zawsze im coś jeszcze zabrali. Bieda zaś już była taka między konfederatami przez to długie wojowanie, że nieraz żołnierze — choć mróz był i zima, wychodzili do bitki w samych tylko koszulach. Ale te zuchy w koszulach bili się tak dzielnie, napadali tak zręcznie, że po każdej takiej wycieczce karmili swoje konie moskiewskim owsem, a sami również pogryzali moskiewski chleb i słoninę, wreszcie zaś i postroili się prawie wszyscy w moskiewskie mundury, wydarte wrogom. To też kpinom i żartom z Drewicza nie było końca, a w obozie konfederackim śpiewano nawet zwycięską piosenkę:

Jedzie Drewicz, jedzie,
Trzysta koni wiedzie,
Oj, poczekaj, panie Drewicz,
Nie twoje to będzie.

Od bram Częstochowy
Zabrzmiały podkowy,
Ho! ho! teraz, panie Drewicz,
Nie uniesiesz głowy.

To Kazimierz Pułaski,
Konfederat barski,
Ty wiesz dobrze, panie Drewicz,
Że to rębacz dziarski.

Drewicza ujęto,
W kajdany opięto —

Hej! panowie bracia szlachta,
To nam dzisiaj święto.

Obcinałeś ręce,
Obcinałeś uszy
Naszym panom, braciom, szlachcie,
Dziś myśl o twej duszy.

Chłopcze, podaj skrzypce,
Podaj i oboje,
Niech ja zagram senatorom
Patrząc na śmierć twoją.

Ale na nieszczęście nie sprawdziły się słowa tej żołnierskiej piosenki, bo choć konfederaci długo nie dali sobie odebrać Częstochowy i bronili się Moskałom zawzięcie, daleko im jeszcze było do zwyciężenia i pochwylenia Drewicza. Przeciwnie, coraz gorzej nawet dziać się poczynało całej konfederacji. Nie wszyscy bo też mieli tę zawziętość Pułaskiego dla dobrej sprawy, nie każdy tak jak on chciał poświęcić majątek, życie, zdrowie, dla obrony wiary i wolności. Ludziom zaczęła się przykrzyć ta ciągła walka, która trwała już od lat pięciu — przykrzyło się, że zamiast siedzieć za ciepłym piecem po dworach, gospodarować, cieszyć się z przyjaciółmi i rodziną, trzeba było nie schodzić prawie z konia, często głodem przymrzeć, kryć się po lasach, chatach i starych zamczyskach, niby wilk jaki wiecznie tropić wroga, albo samemu baczyć, żeby głową nie nałożyć. To też za przykładem Zaremby i Bierzyńskiego, który osiadł na wsi w dobrach, sobie przez Moskali podarowanych, zaczęli się różni przewódcy konfederaccy wymawiać i opuszczać sprawę, choć jej przyśgali. Wówczas inni znów ze starszyny konfederackiej, w ostatniej już desperacji, że wszystkie ich trudy, bitwy, starania, na marne idą, wpadli na myśl, że gdyby się

im udało króla nakłonić, aby z Replinem i carową zerwał porozumienie, a na czele konfederacji sam stanął, to z pewnością cały naródby ruszył, za broń uchwycił, a razem złączeni i pod jedną komendą Polacy, pozbyliby się migiem wszystkich swoich ciężkich wrogów. Znaleźli się nawet tacy odważni ludzie, co do króla poszli, wszystko mu to opowiedzieli i na kolanach błagali o opiekę i zmiłowanie się nad narodem. Ale król wyśmiał tylko „tych warjatów“, jak konfederatów nazywał, a z tymi, co przyszli go prosić i przekładać, polecił Replinowi, aby porządek zrobił.

Rozpacz i istny szał ogarnęły konfederatów tudzież Pułaskiego na takie postępowanie królewskie, ułożyli więc sobie, że trzeba zmusić monarchę do tego, czego po dobroci zrobić nie chce, i w tym celu uradzono porwać króla chytrym sposobem z Warszawy, przywieźć go do Częstochowy, gdzie się spodziewano, iż na tem świętem miejscu, zdaleka od swoich doradców i pochlebców, może przecież się opamięta i uczyni, czego naród gragnie.

Zły to był pomysł i nieroztropny, jakżeż bowiem można było przypuszczać, ażeby lękliwy stał się odważnym i zdecydował się na wojnę z Moskalem, dalej zaś ażeby ten, który zawsze był przeciw konfederatom, miał się stać ich przyjacielem i postępować po ich woli, jeśli mu ci konfederaci naprawdę bardzo ubliżą i mocno go obrażą? Należało także i o tem pamiętać, że jakkolwiek król ten był nie takim, jakiego nam było potrzeba w tych ciężkich czasach, to jednak zawsze był królem, a więc pomazańcem bożym, który za wolą narodu na tronie zasiadł, nie godziło się przeto na jego osobie takiego gwałtu jak porwanie popełniać. Ale w desperacji nieraz się człowieka takie myśli chwytają, jakichby nigdy w spokojnym czasie do siebie nie dopuścił. Tak też i Pułaski, choć człek zazwyczaj rozważny, a złotego serca, dał się obalamucić i przekonać trzem

konfederatom — Strawińskiemu, Kuźmie i Łukawskiemu, — którzy się ofiarowali że króla porwą, i jeśli Pułaskiemu przekładać, jak to wówczas cała sprawa z Moskalami inaczej pójdzie, a dla kraju szczęśliwość wielka, ratunek i ocalenie stąd wynikną. Kazał im pan Kazimierz tedy przysiąc, że królowi najmniejszej krzywdy nie wyrządzą, zdrowego i całego do Częstochowy dowiozą, skąd zresztą już sam na pół drogi do Warszawy się wybrał, z kilkuset swymi zuchami, aby monarchę z należnemi honorami przyjąć i do fortecy przywieźć.

Wszystko zatem było zgóry obmyślane i uradzone.

Kuźma z Łukawskim i Strawińskim dobrali sobie 30 konfederatów i w oznaczonym dniu, poprzebierani za prostych chłopów, co siano wiozą, zjechali się w Warszawie i stanęli w wielkiem podwórzu klasztoru dominikańskiego. Było to roku 1771 w listopadzie, a więc w czasie, kiedy nocy bywają długie, ciemne i dżdżyste, co też bardzo ułatwiło cały napad. Konfederaci dowiedzieli się już naprzód, gdzie król ma być tego wieczora i którymi ulicami powracać będzie; ustawili się zatem w małej uliczce, czekając, aż nadjedzie królewska karoca. Król, niczego się nie spodziewając, nie miał koło siebie wojska, ale tylko dwóch paziów, dwóch hajduków i dwóch lokai. Na dany znak jedni z konfederatów przyskoczyli do koni i zatrzymali karocę, drudzy zaś dalejże drżwiczki otwierać i króla wyciągać. Dobrze to przysłowie, że jaki pan, taki kram, a sprawdziło się ono i w tym wypadku, gdyż w istocie człowiek o zajęczem sercu nie mógł mieć i nie miał zuchów koło siebie; skoro więc tylko gwałt się zrobił, wszyscy pouciekali, jednego lokaja postrzelono i nimby kto zdążył odmówić trzy pacierze, już wieźli konfederaci króla na koniu do małego lasku, zwanego Bielanami, który leży tuż pod Warszawą. Stanisław August jechał przerażony,

zziębnięty, bez kapelusza i bez jednego trzewika, który mu spadł w zamęcie.

Najbliżej króla jechał Kuźma, człek marny, który wprzódy najmocniej do porwania dostojnej osoby namawiał i sam się do tej roboty ofiarowywał, teraz zaś, zamiarkowawszy, że król wystraszony i jęczący zrobi wszystko, co zechcą, byleby go tylko puszczone, wykalkulował sobie, że mógłby grubo zarobić, gdyby na odmianę znów zdradził konfederatów, a króla oswobodził. Uskoczył zatem trochę na bok z królem, czego przy ciemnej nocy inni narazie nie zauważyli, poczem ukrył króla co rychlej w młynie, na osobności stojącym. Stanisław August, że to był wielki niewieściuch i wygodniś, zmęczony podróżą, jakiej nieczęsto używał, a przy której zgubił trzewik i perukę, legł zaraz na łożku młynarskiem i zasnął, Kuźma zaś zawrócił do Warszawy, by dać znać, co się stało, i sprowadzić dla króla służbę i karocę. O świcie był już Poniatowski w zamku warszawskim.

Gwałt się jednak zrobił w kraju, że konfederaci chcą króla zamordować, choć to była nieprawda, bo nie byliby mu nawet włosy zdjęli z głowy, ale dla przykładu i postrachu srogie sądy odbyto nad wszystkimi, co do tego porwania pańskiego ręki przyłożyli, a których niegodziwy Kuźma wydał. Strawiński i Lukawski dostali się na szubienicę, Kuźmie atoli podwójna zdrada niebardzo się opłaciła, bo choć głową nie nałożył, ale mu król gdzieś daleko zagranicę kazał wyjechać i tam zamieszkać.

Sprawie konfederacji porwanie to przysłużyło się jak najgorzej i od tej pory zaczęła ona upadać. Wielu poważnych ludzi odwróciło się od niej. Pułaskiego ogłoszono rozbójnikiem, co się nie waha ręki przykładać do takiego gwałtu nad królem. Gryzł się więc i martwił pan marszałek niemało — że choć tylko dobro kraju i wiary świętej miał na myśli, mimo to różni jęgo

nieprzyjaciele, co mu sławy i miłości całego narodu zazdrościli, pomawiali go teraz o rozmaite najszkaradniejsze występki.

Na dobitek złego i państwa zagraniczne, jak Francja, Prusy, Austria, które dotychczas konfederacji dość nawet sprzyjały, zaczęły obecnie dowodzić, że nie mogą „królobójcom“ pomagać, konfederacji popierać, i że kraj w którym się takie rzeczy dzieją, zasługuje na karę. Naturalnie, że wymyślili taką karę, któraby im największą przyniosła korzyść i przystąpili do pierwszego podziału Polski w roku 1772. Rosja, Prusy i Austria urwały tedy po kawale naszej pięknej polskiej ziemi, korzystając z niezgody, nieładu i warcholstwa w narodzie, a przedewszystkiem słabości i tchórzostwa króla, który i na to się nawet nie oburzył. W jego oczach, za jego przyzwoleniem, szarpano kraj, hańbiono naród, a on na wszystko się zgadzał, na wszystko przyzwalał, byleby najjaśniejsza przyjaciółka, t. j. carowa Katarzyna, pozwoliła mu dalej siedzieć na złocistym tronie i używać wygód tudzież honorów królewskiego życia.

Źle się działo w kraju, a nielepiej i Pułaskiemu, gdy widział, że konfederacja barska, którą przed pięciu laty dla ratowania zagrożonej przez wroga wiary św. i ojczyzny zawiązał ojciec jego, dla której tenże sam ojciec i trzech bracia poświęcili życie, a on sam tyle się napowiewierał, namęczył, całą młodość swoją w niej sterał, że ta konfederacja rozpada się na strzępy, coraz bardziej na siłach słabnie i coraz mniej można mieć nadziei szczęśliwego jej końca i zwycięstwa. Dość powiedzieć, że czterystu ludzi pozostało tylko jeszcze koło niego, a około 100.000 męskiej ludności poległo w walkach konfederackich, dostało się do niewoli lub na Sybir. Częstochowa zniosła już dwadzieścia szturmów i sześćset kul armatnich w nią wymierzono — a tu Suworow, stary wódz moskiewski, nadciągał z ogromnem świeżem wojskiem, przysłany przez carowę, by raz

już zdobyć Kraków, który się jeszcze bronił, i Częstochowę, do której się Moskale ani rusz dostać się nie mogli.

Biedził się więc z myślami nieszczęśliwy marszałek; on sam byłby się chętnie dał zabić pod murami tego świętego miejsca, ale nie mógł, nie śmiał narażać na pewną śmierć tylu ludzi, którzy mu ślepo zaufali i gotowi byli wszędzie pójść za jego rozkazem, na jego skinienie.

Pewnego dnia, gdy tak medytował w smutku i desperacji — dano mu znać, że jakiś żebrak chce się z nim widzieć. Zdziwiony, kazał go wpuścić.

Wszedł starzec bosy, w podartym brunatnym habicie, z długą siwą brodą; wybladły, wynędzniały, do mary raczej niż do człowieka podobny.

— Ojcie! — zawołał Pułaski, poznawszy, że to ksiądz Marek przybywa. — Bóg mi cię tu zesłał, dla rady i wskazówki jakiej. Ach jakżeż zmęczyła się dusza moja w tem szamotaniu i rozterce; sam już nie wiem, co złe a co dobre, i nie wiem, jaką drogę obrać, by iść wedle głosu Bożego.

— Przybyłem też tu, synu, — odpowie ksiądz Marek, — z rozkazania Bożego. A ciężka to była wędrówka, bo mię po drodze Moskale kilka razy chwytać chcieli i po lasach, po jarach, po jaskiniach, niby zwierzę goniący, kryć się musiałem, przysięgłem zaś sobie, że dopóki do ciebie nie przyjdę, nie do ust krom wody i suchego chleba nie wezmę.

Tu osunął się starzec na ławę znużony i przymknął na chwilę powieki. A potem mówił znów dalej:

— Przyszedłem do ciebie, Kazimierzu, boś ty jeden czysty i wierny pozostał, tobie więc rozkazał Bóg objawić wolę Swoją. Rozkazano ci zaś przeze mnie:

— „Złożyć oręż i iść na wygnanie, bo gdybyś dłużej walczył, oddałbyś święte miejsce na zniszczenie.

— Na Jasnej Górze liczne pokolenia, żałobą i popiołem okryte, modlić się będą i darmo błagać litości.

— Na Jasnej Górze przyjdzie Moskal zwycięski odzierać szaty z obrazu, ważyć je i spisywać.

— Ale na Jasnej Górze — uklękną też wreszcie kiedyś wnuki wnuków waszych, wolne i szczęśliwe, z grzechów odrodzone, a za tę wolność, szczęśliwość i błogosławieństwo — Pannie Najświętszej dziękować będą.

— Ty atoli, weźmiesz w pokorze brzemię twe i pójdziesz precz na tułaczkę, na obczyznę. Bóg ci da życie czyste, niepokalane i zgon męczennika! A to wszystko jako wolę Bożą przyjąć musisz!“

Schylił Kazimierz głowę w pokorze, słuchając tego wyroku, a łzy jak rosy krople spływały mu po męskim obliczu, szerniałem od trudów i prochu. Wkrótce potem, posłuszny słowom ubogiego a świętego mnicha — wywędrował sam jeden, z dwoma tylko wiernymi przyjaciółmi, het! daleko — za granice kraju.

Częstochowa poddała się wojsku Suworowa, który obiecał konfederatom, że ich wszystkich wolno puści, a kaplicy z cudownym obrazem Matki Bożej nie tknie. Moskal nigdy słowa nie dotrzymywał w zupełności, więc też większą część dzielnych polskich żołnierzy w dyby kazano zakuć i popędzono między śniegi Sybiru. Ale na święte miejsce porwać się, ani go nawet zrabować, nie śmieli przecież Moskwiciny.

Tak się skończyła ta sławna konfederacja barska. Ludzie, co ją rozpoczęli i zawiązali, mieli jak najlepsze — jak widzieliśmy — chęci i najlepsze nadzieje; byli prawymi Polakami, dobrymi katolikami, wstrząsała się więc w nich dusza na widok krzywd i hańby narodu, wierzyli zaś, że za ich przykładem pójda wszyscy — co wyssali z mlekiem matki miłość i święte przywiązanie do ojczyzny, do najdroższej ziemi rodzinnej.

Stało się niestety inaczej — nie było zgody, miłości, posłuszeństwa, nie było ducha ofiary i poświęcenia w całym narodzie, więc Bóg odwrócił oblicze Swoje od nas i nastąpiły czasy pomsty, rozpamiętywania i pokuty, czasy pierwszego rozbioru.

A potem przyszły usiłowania naprawy i przebudowy naszych wadliwych urządzeń państwowych, wielkie reformy sejmu czteroletniego (konstytucja trzeciego maja) i znowu niezgoda wśród nas samych, intrygi trzech sąsiadujących z nami państw, które pomimo wysiłków takich przewodców narodu jak Kościuszko, pograżyły ostatecznie ojczyznę w niedolę niewoli po drugim i trzecim rozbiorze Rzeczypospolitej Polskiej.

Rozbiory te, widoczna kara niebios za winy nasze, były oczywiście najstraszniejszym bezprawiem. Rosja, Prusy i Austria podeptały dziesiąte przykazanie boskie, złamały wszelkie prawa ludzkie, pogwałciły wiarołomnie zawarte poprzednio z Polską przymierza i traktaty.

I rozpoczął się długi okres niewoli naszej, okres krzywd, ucisków i klęsk, obejmujących zgrozą. Trwał on przeszło sto lat, aż nareszcie zaświtało i dla nas po wielkiej wojnie światowej słońce lepszej, szczęśliwszej doli; uzyskaliśmy znowu swobodę polityczną i byt państwowy w wielkim traktacie pokojowym z r. 1918.

Ziściła się w ten sposób w całej pełni przepowiednia bohatera konfederacji barskiej, ks. Marka: przyszły cierpienia, a po nich czas naszego triumfu i pogromu dla wrogów. W wolnej i szczęśliwej ojczyźnie możemy teraz żyć i urządzać się wedle naszej woli i rozumu; obyśmy więc poszli w pracy dla ojczyzny za przykładem takich właśnie bohaterów jak ks. Marek i Kazimierz Pułaski. Życie ich i czyny niechaj będą dla nas wzorem i drogowskazem, bo z bólów ich i cierpień zeszedł posiew lepszej naszej przyszłości, mimo, że oni sami nie doczekali się owoców swych usiłowań.

Pułaski, uszedłszy z Częstochowy smutny i zbolały, tułał się czas jakiś po różnych krajach w Europie, a wreszcie wsiadł na okręt i popłynął het — za morza — do Ameryki, gdzie właśnie Amerykanie bili się także za swoją wolność, chcąc się pozbyć przemocy Anglików. Takich dzielnych, sławnych wojowników jak Pułaski, bardzo im było potrzeba, to też wódz ich naczelny Waszyngton przyjął go z radością i szacunkiem, zwłaszcza że sława młodego marszałka, co tak śmiało bronił swojej ojczyzny, doszła aż tutaj. Waszyngton zrobił Kazimierza dowódcą pułku i nie mógł się nadziwić jego rozwadze i męstwu. Wreszcie podczas oblężenia jednego amerykańskiego miasta, co się zwie Sawanna, zginął ten wielki wódz i bohater w roku 1779 od kuli armatniej, a co najdziwniejsza, że śmierć sobie na dni kilka naprzód wywróżył. Kiedy umierał, szeptał jeszcze :

— Wolność i wiara!...

Zbolały a zawsze świętobliwy ksiądz Marek żył jeszcze po skończeniu konfederacji lat kilkanaście, spędzając je na modlitwie, umartwieniu i postach. Daleki krewny księdza Marka uprosił go, że zamieszkał w jego domu we wsi Berezówce na Wołyniu, niedaleko miasteczka Horodyszcze, gdzie był klasztor karmelitów, którzy także byliby uważali sobie za największy honor, gdyby świętobliwy mnich u nich chciał pozostać.

Właściciel Berezówki, pan łowczy Cielecki, pragnął otoczyć sędziwego księdza największym dostatkiem i wygodą, on jednak nic z tego przyjąć nie chciał. Jakoż izba jego była całkiem pusta i ozdobiona li tylko czarnym krzyżem, z którym się ksiądz Marek nigdy nie rozstawał. Sypiał na podłodze, pod głowę podkładając wór z piaskiem; nie jadł nic prócz chleba, nie pił nic krom wody. Mówił mało, chyba żeby komu co ważnego powiedzieć, pocieszyć, a czasem i wyłajać za jakiś grzech lub winę. Zjeżdżali się do niego ludzie z najdalszych stron, nieraz o sto mil, prosząc o radę

i poratowanie, czyto w jakim nieszczęściu, czy w chorobie — jak do świętego.

Gdy umarł wreszcie — długo temu uwierzyć nie chciano. Pierwszy pan łowczy Cielecki, gdy mu o śmierci księdza powiedziała córka Agnieszka, która go w chorobie doglądała, zawołał: — Bredzisz, moje dziecię, święci nie umierają!

Kilka klasztorów w okolicy wadziło się o to, który ma mieć zaszczyt pochowania u siebie ciała pobożnego mnicha, ale że ksiądz Marek wyraźnie sobie życzył leżeć w kościele w Horodyszczu, więc tam go odwieziono, gdzie też do dziś dnia przechowują się w grobach klasztornych zwłoki świątobliwego, a sławnego kapłana. Leży on w otwartej trumnie szerniały, zeschnięty, ale nie zepsuty, ani nie rozsypany.

Lud pobożny widzi w tem wyraźny cud boski i tysiącami schodzi się do Horodyszcza na odpusty. Duch świątobliwego zakonnika raduje się zapewne w niebiosach, widząc ojczyznę odrodzoną. Myśląc i pamiętając o nim, naśladowujemy go w ofiarnem poświęceniu dla ojczyzny, która i dziś wielkich wymaga od nas ofiar i trudów dla wspólnego naszego dobra i szczęścia.

K O N I E C .





25640/

17

60/1